



Wydanie świąteczne 24 strony

Gierek przemówił... * „Solidarność” dmucha w balonik
* Saga rodu Pabichów * Ich „załatwił” zły Messner
Afera z testosteronem * Kloaka na osiedlu Wazów *
* Wywiady: C.C. Catch, D. Bohlen * Program TV

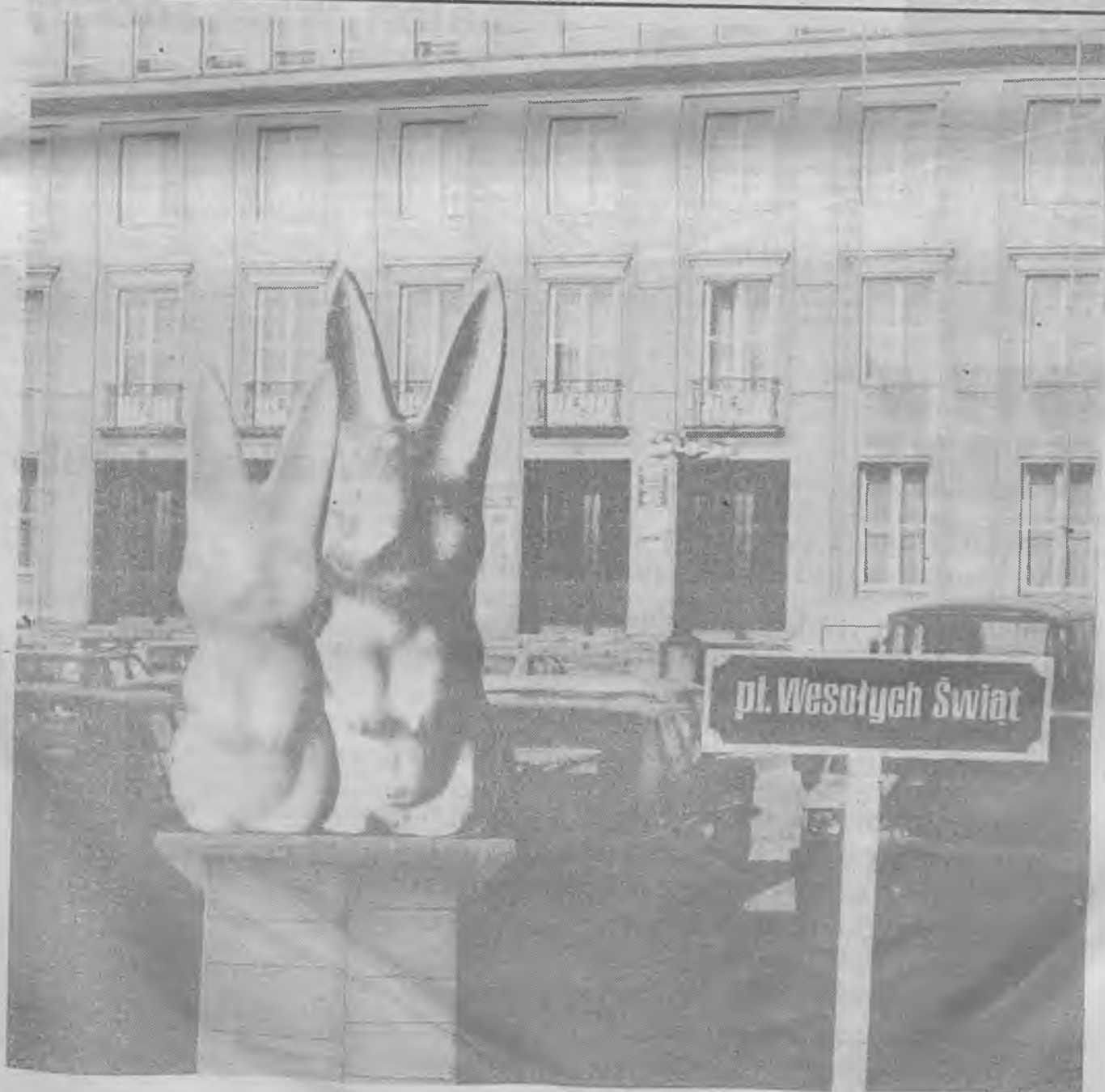
ind. 359491 Zielona Góra Tygodnik
GAZETA NOWA

KURIER ZIELONOGORSKI



ROK I NR 14/90 12 KWIETNIA 1990R.

1500 ZŁ



* SENSACYJNA UCIECZKA Z ARESZTU
* DWIE KOLUMNY SPORTOWE

PRAWA MARSZ

W porozumieniu gdańskim mowa jest jeszcze o bliżej nieokreślonych „nowych, niezależnych, samorządnych związkach” Nazwa „Solidarność” (będąca tytułem biuletynu strajkowego Stoczni) pojawiła się oficjalnie dopiero 24 września 1980 roku.

Pisało się NSZZ, myślało i mówiło — ruch społeczny, inicjator demokratycznych przemian. Później zaś, w stanie wojennym: opozycyjne ugrupowanie, polityczne, narzędzie walki o władzę, węgarnia i bastion sił antysocjalistycznych.

Czasy się zmieniły. Wąsaty elektryk z Gdańska, do niedawna osoba prywatna i „wróbel mianowany orłem” jest dziś najpoważniejszym kandydatem na nowego prezydenta RP. Po wszechwładnej PZPR pozostały jedynie złe wspomnienia... i wcale okazały majątek, na który ostrzą sobie apetyty jej prawni sukcesorzy, socjaldemokraci. Pojawili się dziesiątki nowych partii politycznych, setki związków i stowarzyszeń. Rozwinął i w dużej mierze usamodzielniał ruch komitetów obywatelskich. Niedługo będziemy mieli praw-

dziwe samorządy lokalne, coraz głośniej mówi się o konieczności jak najszybszego przeprowadzenia w pełni wolnych i demokratycznych wyborów do parlamentu.

Czy na mapie politycznej Polski jest jeszcze miejsce dla dawnej „Solidarności”? Jakże ma być ów NSZZ?

„Musimy swymi działaniami wspierać nasz rząd” — twierdzi przewodniczący Zarządu Regionu w Zielonej Górze. „Związek zawodowy winien przede wszystkim dbać o interesy załóg, ze swej natury być antyrządowym” — oto opinia przewodniczącego komisji zakładowej w ZEFAM-ie. Prawdziwy dyalemat.

„Pozostając ruchem społecznym, Związek będzie uczestniczył w budowie politycznego i gospodarczego ustroju Polski, ale na plan pierwszy wysunie obronę praw i interesów pracowników” — formułuje kompromisowo projekt uchwały programowej II Krajowego Zjazdu, który rozpocznie obrady za kilka dni.

Niezdeterminowanie autorów projektu najlepiej wyraża dwuwariantowa propozycja: ut-

worzenie własnej partii albo uczestnictwo w życiu politycznym jako siła odrębna, niezależna od partii, władz samorządowych i państwowych. Która opcja zwycięży?

Osobiście uważam, że kwietniowy zjazd wien być ostatnim zjazdem dawnej „Solidarności”. Nowa partia polityczna o charakterze demokratyczno-centrowym — jak najbardziej. Ale Związek niech stanie się wreszcie normalnym związkiem zawodowym. Resztę pozostawi innym siłom, wyrosłym przecież z tych samych. Sierpniowych korzeni.

Sztandary i symbol „Solidarności” — co zresztą podkreśla sam Wuleśa — trzeba z należytą czcią jak najszybciej złożyć do lamusa historii. Diabli mnie biorą, gdy słyszę o papierosach o tej nazwie, gdy zasłania się owym szyldem byle łapciuch, gdy jakiś młodzieniaszek wypisuje na plakacie solidaryczną „seksualność” (uważając to za wspaniałą dowcip). Szanujemy wspomnienia, patrząc wyraźnie w przyszłość.

EDWARD J. MINCER

MIASTO NA BOCZNYM TORZE

Zmarł Henryk Maciejewski. Drukarz, linotypista. Osoba skromna i mało znana. Od lat spotkać go było można codziennie w zielonogórskiej drukarni prasowej składającego teksty. Jego praca, to była część codzienności gazet i wielu innych wydawnictw. Składał z mozołem teksty wypisane bardziej lub mniej zręcznie na maszynopisie. Zawsze pogodny, wyciszony. Śmierć przyszła nagle. I niewielu ją zauważy.

Zrazu też przypomniałem sobie nagłe odejście Jana J. Dębka, a później Andrzeja Zembatego. Pierwszy, redaktor „Gazety Lubuskiej”, kontrowersyjny i niepokorny, ale osobowość. Drugi, asystent WSP, pasjonat idei

samorządowej i prawdziwego harcerstwa, odważny i nieprzejednany w poglądach. Z red. Dębkiem miewaliśmy spory, choć mógłbym zaliczyć siebie do grona jego wychowanków — dziennikarzy. Dębek był niekiedy nieznośny, wręcz odrzucający. Miał swoje dylematy osobiste. Samotność nadrabiał pasjonacką wręcz aktywnością. Kochał teatr, i swoim cyklem „Teatr i wokół teatru” bulwersował środowisko. Dyrektorzy Teatru Lubuskiego nie cierpieli Dębka. Zawsze coś mu się niepodobalo, ale też, a może dlatego, liczyli się z nim. Kiedy podczas jednego z bankietów premierowych Dębek wlał na drabinę i krzyczał: ze mną dyskusja będzie pierwszorzędna, nikt

go nie słuchał, aż do momentu, kiedy runął na podłogę, gdyż pewnie śnił o zawołaniu. Był to dramat człowieka, który chciał rozmowę wypełnić otaczającą, a także nieodmierzaną rzeczywistość.

Zembaty, pomimo że magister, co w strukturze hierarchii uczelnianej nie oznaczało, miał swoje poglądy. Pamiętam jak z uporem zapytywał: Czy władza terytorialna, to też władza? Niewiele jednak wtedy zyskał odpowiedzi.

Wszyscy ONI mieli swoją charyzmę, choć odmienne były jej przyczyny. Maciejewski wy-ciszony, Dębek kontrowersyjny, Zembaty pasjonat.

ANDRZEJ BUCK

ROBOTY BUDOWLANE

świat stał i przez chwilę wydawało ci się że będziesz żył dłużej pod wysokim słońcem

kiedy niosłeś gałązkę bukszpanu z pękami
miałeś dziesięć lat dom pełen wzruszającego zgiełku
i wolne powietrze do poświęcenia
jeszcze nie wiedziałeś że twoja przeszłość
to blisko dwudziestowieczny krzew pokryty owocami

teraz już wiesz co pierwsze i domyślasz się co ostatnie
ale coraz częściej zapominasz o niezbędnym
i na pięć minut przed ostatnią wieczerzą
biegniesz do sklepu i niezmiennie od stuleci
prosisz o sól i zapałki
ale to zapominanie ocala twoją pamięć

Wielka Sobota

PAN CZESIU

ZŁAPALI GO I UCIEKŁ...

ANNA BULAT-RACZYŃSKA

Takie telefony dzwonią zwykle nad ranem. Zanim się człowiek zdąży obudzić, już wie, że coś się stało. Wtedy czasem sobie myśli, że lepiej byłoby telefonu nie mieć...

Tak było i tym razem, o świcie, po nocy z 13 na 14 marca. Major Kusiak zerwał się na równe nogi i pognął do aresztu. Tu już był ruch. Okazało się, że czwórka młodych ludzi, których przywieziono z Nowej Sól do aresztu w Wolsztynie przed dwoma dniami, nie stanie poki co przed sądem. Uciekli w nocy.

Scenariusz ucieczki nie był specjalnie oryginalny. O takich ucieczkach rozpisuje się prasa w kryminalkach. Tu nie trzeba specjalnej inteligencji, wskazówek, przygotowań. To nie to, co „klasyk i bohater” Najmrodzki, który zapadł się pod ziemię podczas spaceru po więziennym dziedzińcu. Nie było podkopu pod murem z wiatem przykrytym darnią. Nie było pomocy na zewnątrz, wsparcia finansowego i moralnego z wolności. Ta ucieczka nie miała rąk i nóg i pewnie dlatego, jak inne, nie powiodła się. Na szczęście!

Dogadali się pewnie jeszcze podczas podróży z Nowej Sól. Trzech było dobraćmi znajomymi, czwarty załapał się „na krzywego” w imię niezwyklej solidarności jaka odwołuje się za kratkami. W Wolsztynie dostali celę po sąsiedztwie. Pamiętnej nocy jedna z dwójek zajął toaletę, która mieści się tu na zewnątrz celi. Dyżurny otworzył drzwi i stracił orientację. Narzucili mu na głowę koc, związali i taczę. Narzucili mu na głowę koc, związali i poturbowali „na wszelki wypadek”. Uwolnili jeszcze współtowarzyszy niedoli z sąsiedztwa, a potem szybko, po schodach, na pierwsze piętro i skok w dół. Na cmentarz żołnierzy Armii Radzieckiej, który mieści się pod oknami wolsztyńskiego aresztu.

Po ukazaniu się w prasie listu gończego ludzie zaczęli telefonować i „jeździło się jak do pożaru”. Zgłoszenia były nietrafne. W końcu — sukces.

Z powodu tej ucieczki Wolsztyn stał się sławny na całą Polskę — przynajmniej na te parę dni, do schwymania zbiegów w melinie pod Świebodzinem. Pewnie, że takiej sławy nie życzyliby sobie żadne miasto. Taka sława przychodzi jak nieproszony gość. Jak dziennikarz, który koniecznie chce wiedzieć więcej, niż można mu powiedzieć.

Tak było teraz. Dziennikarze pojawili się nieomal natychmiast. Nie tylko ci z prasy zielonogórskiej. Przyjechał m.in. były wolsztyński pracujący dziś w poznańskim „Wprost”. Ale pani prokurator była nieprzejednana. Nikomu nie udzieliła zgody na grzebanie w szczegółach. Oczywiście nie z bezinteresownej niechęci. „Publikacja prasowa nie powinna służyć tylko rozniecaniu niezdrowych emocji, wywołaniu sensacji”.

Major Kusiak też ma na ten temat swoje zdanie, chociaż wie, że ludzie lubią czytać „ta krótkie rzeczy”. Nie żywi niechęci do dziennikarzy i nie chce ich odsyłać z kwitkiem do realizacji — Każdy zawód ma swoich pasjonatów — mówi ze zrozumieniem, bo sam też lubi swoją robotę i ma zwyczaj dopinać swego. Tylko, że dotychczas jako funkcjonariusz milicji i szef Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Wolsztynie, podobnie jak inni przedstawiciele tej profesji nie miał wielu kontaktów z prasą. „Nie byliśmy do tego przygotowani. Kontakty takie zawsze były na dysztans i miały charakter bardzo oficjalny. Inne były zasady udzielania informacji, inaczej się pracowało. Ale jest czas zmian. Na lepsze, miejmy nadzieję”.

Dlatego osobiście nie miałby nic przeciwko temu, żeby odkryć szczegóły ucieczki z aresztu, gdyby nie wątpliwości i tak zwane uczucia mieszcane natury służbowej.

Otóż nie trzeba być milicjantem, żeby zau-



Fot. KRU-KRE

ważyć jak działają na ludzi prasowe i telewizyjne szczegóły przestępstw kryminalnych. Chłopak złapany w Wolsztynie na włamaniach do samochodów wyznał, iż sposób zaczerpnął z programu „997”. Na wykorzystanie telewizyjnego „instruktażu” wyglądał też scenariusz okrutnego gwałtu, którego dokonano w Zbąszyniu na 12-letniej dziewczynce. Sposób wypisz wymaluj ściągnięty z telewizji...

Pościg za sprawcą i wszystkimi z tym wiązało, utkwiło majorowi w pamięci szczególnie. Dlaczego? „Na apel w prasie o pomoc w ujęciu sprawcy nie zgłosił się nikt! Zupełnie jakby ludzie potracili świadomość, że taki dramat może dotknąć każdego z nich. W tym przypadku mało brakowało, a poszedłby siedzieć niewinny człowiek...”

Major nie chciałby jednak generalizować. To nieprawda, że wszystkich ludzi ogarnęła znieczulica. Przed paru laty staruszką przyniosła do komisariatu znalezione sto tysięcy. Co nie znaczy, że szczęśliwy właściciel tych pieniędzy chętnie i lekką ręką wypłacił 10 procent znaleźnego...

A mówiąc o ucieczkach i pościgach, które dziś mogą się już tylko przyśnić, major Kusiak mógłby opowiedzieć o pościgu za Plutą. Sprawa ucieczki tego wielokrotnego mordercy ze szpitala psychiatrycznego w Obrzycach była swego czasu szczególnie głośna. Wywołała w społeczeństwie psychozę panicznego lęku przed spotkaniem ze zbrodniarzem, którego ofiarą padła w Miedzichowie cała rodzina. Rodzice otoczyli wówczas dzieci szczególną troskliwą opieką, mężowie odprowadzali żony dojeżdżające rowerami do zakładu „Romeo” w Zbąszyniu. Pluta przez tydzień „urzędował” w okolicach Wolsztyna zanim udało się milicji trafić do miejsca jego leśnego schronienia w okolicy Belęcina i Karnej. — To była jesień, zimno — wspomina major Kusiak. — Było nas wielu — Koledzy z Zielonej Góry, Poznania, Nowego Tomysła. Psy pomagały w czesaniu lasu. Trafiliśmy na legowisko Pluty w stogu, a potem znaleźliśmy podwieszoną

na za nogę kurę — nigdy nie zjedzoną kolację mordercy. Ukrył się na drzewie i kiedy usłyszał szczęk broni i komendę, żeby posłać po drwa, powiesił się. Rzemień jednak nie wytrzymał pękł i Pluta spadł na ziemię nieomal oskalpowany. Sam wydał na siebie wyrok.

Jeszcze wtedy przed jedenastu laty major Kusiak dojeżdżał do Wolsztyna z Zagania. Z zaganiańskiej służby najdłużej pamiętać będzie zdarzenie, które dotknęło go niemal osobiście. Dwudziestoletni włamywacz zamordował toporkiem na posterunku oficera dyżurnego. Tenże officer ojciec trojga dzieci i czwartego, które właśnie miało się urodzić, był jego przyjacielem...

Włamywacza — mordercę ujęli już po godzinach pościgu. Jan Kusiak przesłuchiwał go: „Czasem są człowiekowi potrzebne szczególnie mocne hamulce. Wściekłość i emocja to fatalni doradcy w takich przypadkach”.

Pościg za uciekinierem z aresztu, czy też, jak się czasem zdarza, z sądu (na przykład w czasie rozprawy przez okno toalety), to — wiać domo — margines pracy milicji. „Rutynowe działania, żadne bohaterstwo”. — Tak się składa, że akurat o tym rozmawiamy — mówi major Kusiak i dodaje, że wyprawa na wolność „dzielnej czwórki” nie była ani pierwszą, ani ostatnią próbą odzyskania swobody przez zatrzymanych. Przed około dziesięciu laty z wolsztyńskiego aresztu zbiegli na przykład dwie Cyganki złapane na gorącym uczynku podczas włamania na plebanię w Gościeszynie. Tak się składa, że jedna z nich, znakomicie taniec i śpiewająca, była... członkinią zespołu „Terno”. Trafiły tu akurat tuż po oddaniu aresztu do użytku — zabezpieczenia nie były sprawdzone ani specjalnie wyszukiwane. Po otwarciu celi obie panie zeszyły piętro niżej do toalety i wyskoczyły przez okno na cmentarz.

Szukano ich aż półtora roku — do skutku, czyli zatrzymania w bunkrze pod barakiem w Niałkowie.

— Każda taka ucieczka to „wypadek przy pracy”. Niefart zdarza się przy wykonywaniu każdego innego zawodu. A nam teraz jak wszystkim, nielekkko. Na naszym terenie w porównaniu z tym samym okresem w ubiegłym roku przestępczość wzrosła o połowę. Brakuje nam do pracy ponad dwudziestu ludzi, bo wielu musiało odejść. Ostatnio co prawda coś się przelamuje, zaczynają zgłaszać się chętni. Ale dziś to już nie może być nabór z przypadku. Poza tym... To fatalne wyposażenie w środki techniczne. Przydałby się na przykład w areszcie monitor z kamerą. Choćby taki, jaki ma nieopodal hodowca bydła. Włączyłby sobie w domu przy kolacji i wie, czy w oborze krowa mu się przypadkiem nie celi...

Miłych
i pogodnych
Świąt
życzy
redakcja

„Gazety Nowej”

SOLIDARNOŚĆ DMUCHA W BALONIK

CZESŁAW MARKIEWICZ

„Oświadczam, że dyrektor Państwowego Domu Pomocy Społecznej w Glińsku, obywatel Zenon Kasztelan, odnosi się do mnie ordynarnie. Na naradzie 19 lutego 1990 r., członków Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” nazwał kryminalistami”.

Była pracownica PDPS pisze w „donosie”: „Mimo, że praca tam nie należała do najłatwiejszych — lubiłam to zajęcie, odpowiadali mi ludzie, nawet te chore, biedne kobiety były mi bliskie. Często słyszałam o ohydnych, brutalnym traktowaniu ich przez pana dyrektora”. Inne „oświadczenie” kończy pointą: „Nie darmo o PDPS w Glińsku krąży od lat opinia: szambo Kasztelana”.

Zenon Kasztelan jest zamordystą w „klinicznej postaci. Magister Jolanta Kasztelan, córka Zenona, pełniąc funkcję kierowniczkę, jest osobą o delikatnym usposobieniu. Druga córka dyrektora pracuje w PDPS na mniej odpowiedzialnym stanowisku. Zona dyrektora być może znajdzie wkrótce zajęcie np. w księgowności, bowiem 30 marca br. wszystkie pracownice tego działu złożyły wypowiedzenia. Aktualnie „śledztwo” w PDPS prowadzi komisja powołana przez wicewojewodę J. Ziętę. Przesłuchuje się pracowników i... „jest nieźle” — jak konfidencko odpowiada na pytanie dyrektora, jeden z członków wielce szacownej Komisji.

Reżim? Tak — odpowiada dyrektor Kasztelan — bo jesteśmy tu po to, żeby dać opiekę ludziom nieszczęśliwym, chorym psychicznie. Z tymi „sfiksowanymi, żyjącymi manekinami” — jak powiada rozluźniony już pan dyrektor — można zrobić co się chce. Wymiarzone miejsce dla sadyistów. Dlatego od początku, od 1984 roku, „podejrzani” dmuchają w balonik. Nie tylko członkowie, powstałej zresztą dopiero w lutym 90 r., „Solidarności”. Dmuchała ongiś przełożona pielęgniarek, zrzeszona w branżowym Związku Pracowników Służby Zdrowia. Balonik szczęśliwie nie załamał się, ale przełożona i tak płakała... upokorzona. Teraz śmieje się z tego w gabinecie dyrektora. „Mówią”, że zanim dostała się do kliniki dyrektora, to znaczy przed otrzymaniem mieszkania, nie raz, nie dwa „ukrywała się” przed balonikiem w kuchni. Jednak nikt tego nie potwierdzi imieniem i nazwiskiem.

Szepce się też o szantażach przy podpisywaniu branżowych, „dyrektorskich” deklaracji. Jedna z opiekunek mówi wprost: „Przestańcie pieprzyć o jakimś zmuszaniu! To wy przecież kradniecie”. Wy — znaczy członkowie „S”.

Pechowo, jedną z osób, które u wojewody składały oficjalną skargę, przyłapano wcześniej na kradzieży masła. Również pechowo jeden z „buntowników” miał coś tam w papierach o znęcaniu się nad żoną i skłonnościach do wyszynku — wszystko potwierdzone odpowiednimi paragrafami. Z drugiej zaś strony: „Jedna z członkiń branżowego, dyrektorskiego związku... lubi spędzać późne wieczory w szoferkach typu TIR” — powiada ktoś z „S”.

Dyrektor też ma swoje grzechy. Przede wszystkim należał do PZPR, a co gorsze, teraz zapisał się do SdRP. Istnienie dwóch związków zawodowych, mniej więcej fifty-fifty, uznaje za sukces. Dzięki temu „pluralizmowi” jedni donoszą na drugich. Dyrektor nie musi już podsłuchiwać pod drzwiami i skradać się jak kot np. ...do kuchni, gdzie właśnie kradną mięso. Samorządni i niezależni dziwią się trochę, bo dyrektor powiedział kiedyś o menu pensjonariuszek: „Nieważne co, byle było kolorowo”. Żeby wszystko było jasne, trzeba dodać, że branżowy związek, po wcześniejszym



Fot.: KRU-KRE

rozwiązaniu pośrednio przez dyrektora, został reaktywowany zaraz po zawiązaniu się „Solidarności”.

Dziś, w chwili „przesłuchań” dotyczących wotum nieufności sformułowanego przez KZ NSZZ „S” wobec dyrektora Kasztelana Zenona, po korytarzach Państwowego Domu Pomocy Społecznej snują się... „sfiksowane, żyjące manekiny”, wyłącznie pięci żeńskiej. Najmłodsza ma 19 lat, najstarsza 94. Ta dwunastoletnia siedzi przy oknie i kiwa się. Matka widziała ją tu tylko raz. Zemdlala i nigdy się już nie pojawiła. Na „ostatnim”, rzeczywiście ostatnim oddziale, jest sala. Przypomina poczekalnię. W wykrzywionych twarzach siedzących tam kobiet, trudno odróżnić radość od rozpacz. Z pewnością „cieszy się” ta głucho-niema podsuwająca głowę... do poglaskania. Na korytarzu ruch. Opiekunki prowadzą pod ręce piszczące pensjonariuszki. Niektóre boso. „Nie warto zakładać im butów, bo i tak zdejmą” — mówi dyrektor. W pokoju socjalnym uwagę przykuwają półki z skózanymi pasami. Służą do krępowania „pobudzonych”. Pensjonariuszki szczególnie uaktywniają się w czasie przesileni pogodowych. Na „ostatnim” oddziale nie sygnalizuje się potrzeb fizjologicznych. Opiekunki biegają z ścierkami i wiadrami. Trudno opanować odruch wymiotny. Dyrektor pokazuje... „wybieg”. Park — poprawia go przełożona pielęgniarek.

Konflikt dotyczy również wysokości premii, szczególnie zaś dodatków z tzw. puli dyrektora. Opiekunki mają wyższe premie,

niż np. pracownice księgowości. „Za zastraszenie robotę, trzeba płacić” — mówi, przeprasząc, dyrektor. Teraz, gdy wydaje polecenie usunięcia ekskrementów (p. CM) członkowi „S”, ten odbiera to jako zamach na godność Związku. Etosowi branżowemu nie uchybiają sprzątaczkę z pluralistycznego Związku, zatykają nosy bez szemrania — powiada dyrektor.

Pensjonariuszki mają określone prawa. Właśnie dyrektor zwiększył im miesięczne kieszonkowe z dwóch... do czterech tysięcy. W chwili przyjęcia do zakładu, pieniądze, często spore oddawane są do depozytu sądowego. Możliwości bezkarnego okradania pensjonariuszek teoretycznie są nieograniczone. Mowa o biżuterii i cennych przedmiotach. Ale ten zarzut dyrektor zbywa śmiechem. „Myśli pan że rodzina pozbywa się niewygodnej staruszki zostawia cokolwiek?” — mówi.

W ogóle dużo się „mówi” w Państwowym Domu Pomocy Społecznej. Podczas sześciolatniej kariery, dyrektora kontrolowano niemal non-stop. „Kiedyś stał tu pod oknami cały rząd wołów, dziś stoi tylko jeden fiat” — pokpiwa sobie pan Kasztelan. Jest rzeczywiście mocnym facetem. Kiedyś odkrył u pensjonariuszki czajnik, w którym grzała wodę na herbatę. Wpadł w szal, rozbił gliniany czajnik, a kobietę kazał obezwładnić skózanymi pasami. Formalnie obowiązuje kategoryczny zakaz używania przez pensjonariuszki urządzeń elektrycznych. Względem są oczywiste.

W ogóle w PDPS jest idealny porządek. W pokojach boazeria. Czysto. Gabinet fizykoterapii. W korytarzach poręcze. Zjazd dla wózków inwalidzkich. Będzie winda. Dyrektor zagląda wszędzie. Na wszystkich się zna. Niewiele można mu zarzucić. Jak na „czymś” złapie — wywala dyscyplinarnie. Nie potrzebuje na to zgody związków zawodowych, ani jednych, ani drugich.

Czy więc zarządzanie tak specyficznym zakładem może stępić czyjąś wrażliwość? Kiedyś z PDPS wymknęła się pensjonariuszka. Znalaziono ją martwą, zamrożoną w polu. Dyrektor był załamany. „Dopóki ja tu będę, taki przypadek się nie powtórzy” — przyrzekł sobie wtedy. Dlatego dmuchają w balonik, są śledzeni, skłóceni, przyjmowani na trzymiesięczny okres próbný i wywalani na przysłowiowy pysk. Rotacja jest ogromna.

BIEDNY, to niech umiera

GRAZYNA WALKOWIAK

— Często podczas lekcji słyszę Jej ciężki oddech. Raz po raz zerkam, czy coś się nie stało! Nie podnoszę głosu z obawy, by się nie zdenerwowała. Kiedy kończy się dzień, przychodzi uczucie ulgi. Rano czekam na nią w szkole. Jeśli jest — cieszę się. Boimy się tego, co może się zdarzyć. Ale co zrobić? — Mówi Danuta Szwarz, wychowawczyni klasy 8 w szkole podstawowej w Wichowie.

Karta informacyjna leczenia klinicznego Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej w Poznaniu z 10 grudnia 1989 roku. U Małgorzaty Kurzawy ur. 17 kwietnia 1974 roku rozpoznano kardiomiopatię zaporową, ze zwężeniem drogi odpływu komory lewej z niedomykalnością obu ujść żylnych z przewagą lewego. Cechy EKG wskazują, znaczny stopień patologicznego przerostu komory lewej i lewego przedsionka, oraz komory prawej. Znaczne zaburzenia okresu repolaryzacji nad komorą lewą.

— O tym, że Małgosia ma podobno wszystkie możliwe wady serca, wiedziałam już wcześniej. Mam rodzinę w Wichowie, często tam jeżdżę — mówi pani Czesława Krzyśków z Zielonej Góry. — Ostatnio dowiedziałam się, iż dziewczynka wróciła z Poznania z wyrokiem: kilka miesięcy życia. Od tej pory nie mogę się uspokoić. Ciągłe myślę, czy ja, obcy jej przecież człowiek, mogłabym pomóc. Patrzę na swoje, zdrowe dzieci i widzę tragedię tamtego dziecka. Pamiętając udaną akcję na rzecz Natalii Zieleni pomyślałam, że tylko ludzie dobrej woli i szlachetnego serca mogą przyjąć z pomocą.

Karta informacyjna leczenia klinicznego Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej w Poznaniu. Epikryza: na podstawie wykonanych badań diagnostycznych, łącznie z USG serca, powyższe rozpoznanie potwierdzono. Wobec faktu pojawienia się zaburzeń rytmu w postaci przedwczesnych pobudzeń komorowych i trwałego zwężenia na drodze odpływu komory lewej, zdecydowano o konieczności wykonania zabiegu kardiokirurgicznego.

— Małgosia jest sierotą. Pochodzi z wielodzietnej rodziny — mówi doktor Maria Zyta

Swoją „styl” dyrektor przenosi na... pensjonariuszki. Akurat zatrzymujemy się przed kobietą, której syn pełnił funkcję sekretarza gminnego nieboszczki PZPR. „Wasz syn nie jest już sekretarzem” — krzyczy dyrektor. Kobieta kiwa potakująco głową. „W ogóle nie ma już partii” — dodaje. „To niemożliwe” — krzywi twarz kobieta.

W Glinisku mówi się, że Kasztelan ma plecy. Okazuje się, że czterdziestka dorosłych „buntowników” też jakby nie wierzy, że partii już nie ma. Dlatego założyli związek zawodowy „Solidarność”. Na razie tylko po to, żeby wysadzić z siodła tyrana, zamordystę, a może tylko bardzo wymagającego, aczkolwiek nieokrzesanego — dyrektora.

Z pewnością ktoś czegoś nadużywa w Glinisku. Kto i czego — nie rozstrzygnie nawet komisja powołana przez wojewodę. A tak naprawdę, wyjeżdżając z Gliniska — już w Świebodzinie — nie pamiętam kto i w jakim celu dmuchał w balonik w Państwowym Domu Pomocy Społecznej, w żadnym razie nie był to Lech Wałęsa.

z Gminnego Ośrodka Zdrowia w Brzeźnicy. — Ojciec przekazał prawie wszystkim (dzieciom) G.W.) dzieciom wadę serca. Kilko już umarło. Przeglądałam karty leczenia klinicznego pozostałego przy życiu rodzeństwa. Stan serca Małgosi jest najbardziej zatrważający. Tylko operacja może uratować to dziecko. Wie pani, to ja w ubiegłym roku stwierdziłam zgon 16-letniego Janka, brata Gosi. Wyszedł z autobusu, podbiegł trochę i... umarł na poboczu drogi... w Wichowie.

Karta informacyjna leczenia klinicznego Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej w Poznaniu. Wskazania: wybitnie oszczędzający tryb życia. Stała opieka poradni kardiologicznej. Wynik konsultacji: co do możliwości wykonania zabiegu kardiokirurgicznego (prof. Lorkiewicz), zostanie przekazany siostrze dziecka.

U Marii Habior (25-letnia siostra Gosi), jako jedynej z rodzeństwa — wady serca nie stwierdzono — ojciec umarł jak miał 47 lat. Nie wiedział o tym, że ma chore serce. Wie pani jak to jest na wsi. Do miasta daleko to i do lekarzy nie chciał iść, bo ważna była gospodarka. Nie leczył się i umarł. Zaraz po nim na raka umarła matka. Zostaliśmy sami. Kiedy zaczęły umierać dzieci, zainteresował się nami felczer z Mirociną Górnego. Po zostalych żyjących jeszcze, skierował do Zielonej Góry na szczegółowe badania. A z Zielonej wysłano nas do Poznania. Pomimo że sama mam dwoje małych dzieci, co pół roku regularnie wozilam rodzeństwo na kolejne badania. W lutym pojechałam z Małgosią (stan jej się bardzo pogorszył) na konsultację do profesora Lorkiewicza. To było straszne, płacze. — Okazało się, że na darmo pojechałam. Profesor powiedział, że w Polsce ratunku dla Gosi już nie ma. Tylko operacja za granicą, na Zachodzie, może dać jej szansę przeżycia. — Starajcie się na własną rękę wysłać dziecko do Holandii lub Szwecji. My tu już nic nie pomożemy. Za późno. — Napisałam do Telewizji Nocą. Prosiłam ich, by mi pomogli znaleźć ludzi, którzy by sfinansowali wyjazd i operację Gosi. Napisałam błagalny list na dziesięć stron. Do dziś nie mam odpowiedzi... Tak bardzo kocham siostrę... Ona zdaje sobie sprawę co jej grozi. Stała się taka cicha i zamknięta w sobie. Wiem, że codziennie płacze. Jak byłam w Poznaniu, to pytałam doktor Ireny Paluszakowej — kardiologa, jak długo bez operacji może siostra żyć. Dzień, tydzień, miesiąc, nie wiadomo. Jej życie jest w rękach Boga — odpowiedziała mi. A ja, co ja? Modłę się do niego codziennie, może stanie się cud.

OD AUTORKI: Prof. Zbigniew Lorkiewicz, dyrektor Ośrodka Kardiopulmonologicznego w Poznaniu obiecał (po zebraniu funduszy) pomoc w umieszczeniu Małgorzaty w Klinice Kardiokirurgicznej w RFN-ie. Prosimy o pomoc. Podajemy konta:

Konto złotówkowe: 97518-13-173-410 I Oddział PKO w Zielonej Górze.

Konto dewizowe: 97026-76500-152-1787 NBP Oddział Okręgowy w Zielonej Górze, z dopiskiem: dla Małgorzaty Kurzawy.

„Nowa”-jaka i dlaczego taka ?

Proponujemy czytelniczą sondę pod hasłem „Jaka gazeta?”. My, dziennikarze nie robimy tej gazety dla własnej zawodowej satysfakcji. Robimy ją dla Was, Czytelników. Spróbujmy więc redagować ją wspólnie.

Zapraszamy na łamy! Zatelefonujcie (tel. 30-01), przyjdźcie osobiście (pl. Bohaterów Stalingradu 13, wejście obok restauracji „Ratuszowa”) lub napiszcie do nas.

— czytam „Nową”, bo...

— nie czytam, bo...

— czytałbym, gdyby...

Dzisiaj publikujemy pierwsze wypowiedzi.

Stanisława Rybczyńska, pracownica piekarni „Spolem” w Zilonie Górze:

Kupuję „Nową”, bo na naszym zielonogórskim rynku czytelniczym jest ciągle nowa. Zwyczajna ciekawość. Mam jednak wiele wątpliwości, bo moich oczekiwań póki co nie spełnia. Mimo to ciągle mam nadzieję, że następny numer, to już będzie TO. Co? Na przykład ciekawe reportaże o życiu interesujących ludzi. O sprawach historii, Katynia, zdevastowanych zabytków mówi się dziś już tak dużo, że to spowszedniało. Tak samo jak bieda pokazywana jako beznadziejna. Pokażcie próby radzenia sobie z nią i tych, którzy pokonują własne słabości, żeby przetrwać w trudnych czasach. Co jeszcze? Znam w Zielonej Górze wielu ludzi, ale jestem bardzo zajęta i nie ze wszystkim mogę być na bieżąco. Czasem dopiero z nekrologu dowiaduję się, że zmarł ktoś znajomy. Albo nie kupuję gazety i ucieknij mi informacja o zebraniu w spółdzielni mieszkaniowej. Chciałabym, żeby w „Nowej” więcej było informacji lokalnych, uwag na temat funkcjonowania handlu, paradoksy życia codziennego, których sobie człowiek często nie uświadamia. Zawsze ciekawe są „sensacje” typu „mysz w serze” czy „termometr w kielbasie”. O zabójstwach i wypadkach jeśli dzieją się „gdzieś tam”, mogę nie czytać, ale jeśli to będzie relacja z wypadku, który zdarzył się „obok”, jak ten na Ptasiej, to proszę bardzo. To, co się dzieje na własnym podwórku zawsze jest ciekawe.

Leszek Maruszewski, kierownik księgarni w Wolsztynie:

Nowej gazecie zawsze trudno wejść na rynek. Szczególnie w takich czasach jak obecne, kiedy nawet poszukiwane kiedyś i chowane pod ładą pisma, piętrzą się w kioskach. Ale marazm zawsze można przełamać. Dajcie się lepiej poznać! Zareklamujcie się! Przekonajcie ludzi, że patrzą na rzeczywistość świeżo, inaczej, że chcecie ją zmienić na lepszą, rozbić dotychczasowe układy.

Poza tym idźcie w teren i pokażcie region. Nie jakąś tam „Ziemie Lubuską”, bo takiej nie ma. Jest region żarski, żagański, świebodziński, nowosolski, my w Wolsztynie i inni. Oddajcie część łamów ludziom, którzy tam mieszkają i chcą opowiedzieć o sobie, o swoich środowiskach.

Do czytelnika zbliżają też organizowane przez gazetę festyny, kiermasze, imprezy — choćby latem, nad jeziorem. Niech ludzie poznają bliżej dziennikarzy, wtedy sięgną po gazetę, na pewno. Ja osobiście jestem za tym, co nowe. Nowemu trzeba pomóc!

URODZIŁEM SIĘ NA SKRZYŃCE Z JAJAMI

ALINA SUWOROW

Pan Daniel Pabich podejmuje mnie na za plecach swego niewielkiego sklepu wędliniarskiego przy ul. Świerczewskiego. Przed chwilą wrócił ze Sławy z zaopatrzeniem. Teraz, przed ladą, gromadzi się coraz więcej ludzi.

Z jego bratem, Markiem rozmawiam tylko dwie minuty. Spieszy się, musi odebrać towar. Jest umówiony. Prowadzi sklep tej samej branży przy ul. Jedności Robotniczej. Natomiast Krzysztof, trzeci z braci Pabichów swój interes zlokalizował w centrum Sulechowa. I on od dwóch miesięcy, razem z żoną, sprzedaje mięso i wędliny.

Ludzie mówią o nich: Pabichowie jeśli już coś wezmą w swoje ręce, to zawsze muszą być najlepsi. Estetycznie, gustownie urządzone sklepy, miła, szybka obsługa i uprzejmość, niewygórowane ceny.

Jeszcze do niedawna trzech bracia, Daniel, Krzysztof i Marek Pabichowie prowadzili cukiernię w Jędrzychowie, Sulechowie i Zielonej Górze. Wszystkiego co w interesach niezbędne nauczyli się od swojego ojca Henryka. Teraz doskonale urzędnicy, prywatne zakłady z nowoczesnym wyposażeniem, własne domy, samochody, rodziny. Ale początki były bardzo ciężkie — wspomina ich matka. Zaczynali parę lat po wojnie. Makę trzeba było dźwigać na plecach, przeprowadzki z miejsca na miejsce. Mieszkanie zazwyczaj na strychu lub w piwnicy.

Na konkurs Miss Ziemi Lubuskiej w 1988 pan Daniel wjechał na scenę z ogromnym, specjalnie na tę okazję ufundowanym torsem. Wjechał tak energicznie — opowiada jego żona Ewa, iż w pewnym momencie wystraszyłam się, że już nie zdola zatrzymać tego wózka i wjedzie nim na ludzi, którzy się dzielili w pierwszych rzędach. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

— Trójka chłopców. Od samego początku ubabrani w mące. Stąd też wzięła się chyba u nich ta alergiczna na mąkę — mówi pani Pabichowa — matka. — Bardzo się o nich martwiłam. Wolalam, aby zajmowali się czymś innym. Cukiernictwo to ciężki kawałek chleba.

Ale ojciec był nieprzejeđnany. Postanowił z synów uczynić cukierników za wszelką cenę. A może dlatego, że znalazł się na tym fachu najlepiej i najwięcej mógł przekazać. Sam uczył się od swojego ojca — Jana Pabicha z Przemętu w Poznańskim. Do dziś mieszka tam jego żona, sympatyczna i wesoła

babcia Pabichowa. Opowiada o początkach ich piekarnianego interesu, przed wojną i po wojnie... A wszystko rozpoczęło się w 1931 roku. Wtedy to za pieniądze, które razem z mężem otrzymali w posagu od rodziców kupili niewielką, zadłużoną zresztą piekarnię w Przemęcie. Wexle po paru latach spłacili a interes zaczął przynosić coraz większe dochody. Uruchomili też olejarnię napędzaną kieratem a poza tym w swoim sklepie sprzedawali inne jeszcze rzeczy. Wkrótce postarał się też o elektryczność wykorzystując młyn rzeczny.

— Żeby takie specjalne kłopoty w życiu miała to nie — wyznaje. — Nawet za Niemców, w czasie wojny wiodło się nieźle.

Chleb przecież muszą jeść wszyscy. Niemcy też musieli. Więc pan Jan Pabich razem z dwoma czeladnikami piekli dużo i dobrze, i wszyscy byli zadowoleni. Mąki starczało na więcej niż wynosiły kartkowe przydziały chleba, toteż dokarmiali Żydów z obozu, który zorganizowali tu Niemcy. W czasie wojny trudno było inwestować w maszyny i urządzenia, nie można też było rozbudować piekarni, ponieważ nie starczało na to miejsca. Gospodarz odkładał więc pieniądze i czekał na lepsze czasy. Takowe jednak dla dziadka Pabicha nie nastąpiły.

— Gdy po wojnie zrobili wymianę pieniędzy — opowiada jego żona — dziadek rozłożył te wszystkie stare, już bez wartości na podłogę, sam usiadł pośrodku i patrzył na nie. Do nikogo się nie odzywał. Tylko patrzył i myślał... Po raz drugi załamał się, gdy w 56-tym już definitywnie kazali mu zamknąć piekarnię, a wcześniej zabrali przydział na mąkę. Potem dziadek pracował w tej GS-owskiej piekarni, ale to już nie było to. Przyjeżdżał więc często do syna Henryka, do Zielonej Góry. Żył jego interesami, radził, pomagał.

Wszyscy w rodzinie doskonale dziadka pamiętają, wszyscy szanują pamięć o nim.

— Teść, niech tam Pan Bóg da mu lekka ziemię, u nas czuł się najlepiej — wspomina żona pana Henryka.

Jeszcze jedno spojrzenie na Przemęt. Jedną z wielu poznańskich wsi. Z poznańskich, bo w Zielonogórskim takich nie ma. Czystość, estetyka, gospodarność widoczne w każdej zagrodzie. Tutaj widać, że ludzie nie siedzą i nie siedzą z założonymi rękami. Stąd syn Jana Pabicha — Henryk wyruszył po wojnie na Zachód, na Ziemię Odzyskaną. Wy-



Jan Pabich — nestor piekarnictwa w rodzinie Pabichów.

ruszył, bo na początku było tu inaczej. Nie zagospodarowane fabryki, nieuruchomione zakłady, puste mieszkania. Można było mieć nadzieję. A gdzie chleb, tam i ojczyzna — mówią jego synowie.

Nie był mu dany jednak żywot spokojny i stateczny. Jako jeden z nielicznych fachowców w tej branży uruchamiał państwowe cukiernie i piekarnie w Koźuchowie, Głogowie, Lubinie, Węglińcu, Gubinie. W każdej z tych miejscowości musiał zatrzymywać się przynajmniej na parę miesięcy. Rodzina wędrowała za nim.

— To była istna cyganeria — opowiada jego żona. Pierwszą prywatną cukiernię otworzyli w Gubinie. Później, w 1970 podobna okazja nadarzyła się w Zielonej Górze. Pan Henryk Pabich zaryzykował.

— Ale Krzysiu i Marek mieszkali i chodziłi do szkoły w Koźuchowie — mówi ich brat Daniel, najstarszy z rodzeństwa. — Ja i mama pomagaliśmy ojcu. Potem mama wróciła do nich, a my z ojcem nocowaliśmy w piwnicy domu, który dopiero co zaczęliśmy w Zielonej Górze budować. On praktycznie wszystkiego nas nauczył. Nauczył nas prowadzić interesy, solidnie pracować, przewidywać. Bardzo dużo jemu zawdzięczamy. Dziadkowi też, bo dziadek nauczył ojca...

Potem przyszły „złote” lata gierkowskie.

— To był jeden wielki koszmarny — mówi starsza pani Pabichowa, matka Daniela, Krzysztofa i Marka. — Traktowano nas jak przestępców tylko dlatego, że byliśmy przywaciarzami. „Przywaciarz” — brzmiało pogardliwie. Oznaczało — oszust, złodziej, czy tam jeszcze ktoś gorszy. Pamiętam, wypadli do zakładu tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1972-gim. Sanepid, PIII, PG. Było kilka osób. W tym czasie, wiadomo, zwiększona liczba zamówień. Ludzie wcześniej powpłacali zadatki. Ich wątpliwości dotyczyły warunków przechowywania ciasta. I chociaż Sanepid nie miał zastrzeżeń, zaczęli je niszczyć. Wyrzucali ciasto wprost na podłogę i deptali. Zmarowali wszystko, około dwóch ton. Męża zakuli w kajdanki i kazali patrzeć. Dziadek po wiedział wtedy, że już za Hitlera było lepiej, bo Niemcy nie dopuściliby aby tyle produktu poszło na marne. Byłam kompletnie załamana, dzieci wystraszane. Wtedy o mało nie zbankrutowaliśmy. Co cenniejsze rzeczy trzeba było sprzedać aby po raz drugi przygotować zamówione przez ludzi torty, makowce, serniki...

Częste kontrole też powtarzały się w domu. Szukali zazwyczaj waluty, choć nie tylko. Kiedyś, pomiędzy bielizną w szafie próbowali znaleźć opone do samochodu, bo ko-



Trzej bracia: Daniel, Krzysztof i Marek z rodzinami u matki.

Fot.: KRUKRE

mus tam w pobliżu zginęła. Przychodzili za-
zwyczaj co dwa miesiące.

W tym czasie i inni cukiernicy mieli kto-
poty.

— Pamiętam jak przyjeżdżali radzić się oj-
ca — wspomina Daniel Pabich. — Nie wszy-
scy wtedy przetrwali. Ojcu szczęśliwie się
udało.

W tym czasie p. Henrykowi pomagali
dwaj najstarsi synowie — Daniel i Krzysztof.
Tu zdobyli kwalifikacje cukierników.

Najmłodszy Marek postanowił wyłamać się
z rodzinnych tradycji i rozpoczął naukę w te-
chnikum mechanicznym. Zdobył dyplom, ale
koniec końców i tak wrócił do ojca. Dziś, po
latach Marek twierdzi, że podczas familij-
nych spotkań nie umiał znaleźć wspólnego
tematu ani z ojcem, ani z braćmi. Postano-
wił się więc „przebranzowić” na... cukierni-
ka. Później przejął po ojcu cukiernię przy
Jedności Robotniczej. Daniel otworzył zakład
w Jędrzychowie, a Krzysztof od 83-ego gos-
podaruje w Sulechowie.

Jeszcze do niedawna wszyscy zajmowali
się cukiernictwem, rozbudowywali firmy, in-
westowali w urządzenia. Jeździli na między-
narodowe wystawy do RFN, NRD, podpatry-
wali swoich kolegów po fachu na Zachodzie.

— Niemcy wcale nie są od Polaków gos-
podarniejsi — mówi pan Daniel. W RFN-je
widziałem wiele podupadłych, zaniedbanych
gospodarstw. Wszystko zależy od tego jakie
warunki rozwoju istnieją w państwie dla lu-
dzi przedsiębiorczych. A u nas, w Polsce, wia-
domo jak było wcześniej. Sytuacja prywat-
nych przedsiębiorstw zaczęła się polepszać do-
piero po roku osiemdziesiątym. Gdyby stało
się to wcześniej, i gdyby tyłu kłód nie rzuca-
no nam pod nogi, moja rodzina posiadałaby
teraz nie małe firmy a duży zakład, czy na-
wet fabrykę na skalę europejską...

Niedawno przekazano im nawet piękny
kryształowy puchar: trzecie miejsce za este-
tykę i obsługę wśród zielonogórskich sklepów
otrzymała cukiernia pana Daniela Pabicha.
Ale wtedy już wszyscy bracia Pabichowie z
cukiernictwa zrezygnowali.

Podczas kolejnego, cotygodniowego zjazdu
u mamy, doszli do wniosku, że na jakiś czas
słodki interes trzeba zostawić, olbrzymie ko-
szty, duża energochłonność, mały popyt, koło
słone podatki. W styczniu, na przykład, zysk
równał się zeru. Jednym słowem, niekorzyst-
na koniunktura.

— Żalowałismy — mówi pani Ewa, żona
Daniela. — Przecież tyle lat zajmowaliśmy
się cukiernictwem. Nie tak łatwo jest się na-
głe przebranzowić, zając czymś zupełnie in-
nym. Ale na plażę nie mogliśmy sobie poz-
wolić.

Postanowili więc wszyscy, że będą sprze-
dawać mięso i wędliny. To dopiero początek
ich nowej działalności, ale Daniel Pabich mó-
wi, że już planują wspólną budowę rzeźni.
Póki co zaopatrują się głównie w Ślawie, rza-
dziej w Wolsztynie. Teraz pan Daniel, jak
sam podkreśla, jest tylko zaopatrzeniowcem.
Księgowością zajmuje się jego energiczna żo-
na Ewa, która pomaga też w sprzedaży dwóm
dodatkowo zatrudnionym pracownikom.

Ta sama miła, energiczna obsługa. Klienci
zadowoleni. Znają Pabichów, bo na zielono-
górskim rynku dobrą markę posiadają od
dawna.

Pytam, co będzie z ich cukierniami. Czeka-
ją na lepszą koniunkturę. Postanowili zatrzy-
mać wcześniej zakupiony, nowoczesny sprzęt
do przygotowania i pieczenia ciastek. Nic nie
stoi zresztą na przeszkodzie, aby w niedale-
kiej przyszłości poszerzyć zakres swej han-
dlowej działalności. Z cukiernictwem łączą
ich znajomość fachu, zaangażowanie emocjo-
nalne, no i przede wszystkim, rodzinne tra-
dycje.

— Przecież o mały włos nie urodziłem się
na skrzynce z jajami — mówi na zakończe-
nie pan Daniel Pabich.

Bez kompleksów

Z WOJCIECHEM DENEKĄ, aktorem Teatru Lubuskiego rozmawia
Wiesław Nowicki

— Obserwuję pańską karierę od 1984 roku.
Grał pan wtedy w teatrze gorzowskim, jeszcze
jako adept. Później zdał pan egzamin ekster-
nistyczny. Od pół roku gra pan w Zielonej
Górze. Czy jest to etap w pańskiej podróży
teatralnej, czy też miejsce, w którym zamie-
rza pan spędzić wiele lat?

— Cenię dyrektora Janusza Kozłowskiego
jako reżysera. Jego osoba zadecydowała, że tu
taj się zaangażowałem, jednak naprawdę nie
wiem, co będzie dalej. Uważam, że Zielona
Góra ma wszelkie dane, aby stać się prężnym
ośrodkiem teatralnym. Chce tego lokalne śro-
dowisko, podobne zamiary ma także zespół i
sam dyrektor Kozłowski. Chodzi o to, abyśmy
wszyscy jakoś się porozumieli, a to zależy od
dobrej woli nas samych. Czy to nastąpi — nie
potrafię powiedzieć.

— Pańskie warunki zewnętrzne, a także za-
wziętość zawodowa, nieodparcie przywołują
nazwisko jednego z największych artystów w
dziejach sceny polskiej — Jacka Woszczerow-
icza...

— Wiele razy analizowałem karierę wielkie-
go Woszczerowicza. To wzór, być może niedościg-
nięty... Jednak każda kariera aktorska jest in-
na i wcale nie wiadomo, jak się zakończy.
Mam czterdzieści pięć lat i jestem tzw. aktor-
em prowincjonalnym, Woszczerowicz w tym
wieku grał jak równy z równym z samym Ju-
noszą-Szepowskim. Rzecz jasna, że chciałbym
być wybitnym aktorem, jednak, kto wie, jak
potoczą się moje dalsze losy... Jedno jest pe-
wne — nie mam kompleksów ani z racji nis-
kiego wzrostu, ani też nie czuję się gorszy te-
chnicznie od wielu moich kolegów, którzy gra-
ją na dużych scenach.

— Czy nie uważa pan, że w teatrze, oprócz
talentu i pracowitości, szalenie ważnym czyn-
nikiem jest to, co można określić jako tzw.
siłę przebicia, coś, co sprawia, że jedni ludzie
robią kariery, inni zaś nie?

— Ma pan rację, jednak nie wiem, czy na
przykład wielki aktor Kazimierz Opaliński
miał ową siłę przebicia. Przez całe lata grał
na scenach prowincjonalnych i dopiero po
pięćdziesiątce zaczął liczyć się w naszym ak-
torstwie... Różnie można na to patrzeć. Z pe-
wnością nie jestem typem przebojowca, jed-
nak to wcale nie znaczy, że jestem człowie-
kiem pozbawionym ambicji zawodowych. My-
ślę, że w aktorstwie nie powiedziałem jeszcze
ostatniego słowa...

— Czy teraz w ogóle możliwa jest indywi-
dualna praca aktora nad sobą? Ludzie w te-
atrach „gonią za chlebem”, biorą różne cha-
tury, żeby jakoś przeżyć.

— To wcale nie jest nowa sprawa. Wielcy
aktorzy w przeszłości przymierali głodem, a
jednak pracowali. Brzmi to dość patetycznie,
ale taka jest prawda. Kto lubi swój zawód, o-
dzie go uprawiał niezależnie od okoliczności.
Powstanie pewna selekcja naturalna, ale czy
to złe?

— Czy nie obawia się pan, że obecna sytu-
acja ekonomiczna sprawi, że większość na-
szych scen będzie miała charakter komercyj-
ny?

— Może tak się zdarzyć, tylko że ja w ta-
kim teatrze nie będę pracować.

(Wojciecha Denekę możemy aktualnie po-
dziwiać w roli Wieni w „Moskwa Pietuski”
W. Jerofiejewa).

Rock and Roll fajny jest...

ANNA BUŁAT-RACZYŃSKA

...na pogodę, na deszcz i w ogóle na wszy-
stko. Tak sądzi zielonogórski rokendrollow-
iec Andrzej Gliwa

„Zachorował” na rock and rolla zaraz po
zrzuconiu munduru. — Po wojsku — jak mó-
wi — zapisał się do Klubu Tańca Towarzy-
skiego „U Ojca” na WSInż. Tam doszedł do
wniosku, że taniec może też być znakom-
itym sposobem na życie.

Jego partnerką do niezwykłych, wymaga-
jących doskonałej sprawności fizycznej i fan-
tazji „łamańców” została Beata Grabowska.
Miłośnicy tańca pewnie pamiętają ich z zie-
lonogórskiego Maratonu Winobranioowego. „Ale
to jeszcze nie było to” — mówi Andrzej,
który dziś tak podrzuca w tańcu swoją par-
tnerkę 15-letnią Karinę Bargiel, że widzom
dech zapiera.

Andrzej Gliwa preferuje sportową odmia-
nę rock and rolla — taniec oparty na kroku
skocznym i wykonywaniu skomplikowanych
ewolucji akrobatycznych. „Tak zaczęto tań-
czyć w latach 70-tych”.

Pana Andrzeja rozpiera energia. Nie wy-
starcza mu doskonalenie własnych umiejęt-
ności i udział w konkursach. Zorganizował
więc w „Zastalu”, który przyciągał go pod
swoje skrzydła, „Klub Rock and Rolla”. Czte-
ry lata w „Zastalu” to kilkadziesiąt imprez
w Polsce i za granicą oraz wielu wychowan-
ków, którzy tańczą zarówno stylem sporto-
wym jak i tradycyjnym, „wolnym”. Członka-
mi klubu/są dzieci w wieku od 7 do 15 lat po-
tzw. przebieżce, czyli kursie wstępnym. Ka-
żdy taki kurs kończy się pokazem dla rodzi-
ców.



Na zdjęciu: Andrzej Gliwa i Karina Bargiel

„Dzieciaki łatwo łapią rokendrollowego
bzika i trudno się temu dziwić. Są niewyży-
te ruchowo i sportowo”.

Postanowił więc „wyjść na miasto”. Rock
and rolla przyjęła z otwartymi ramionami
Szkoła Podstawowa nr 3 w Zielonej Górze.

(ciąg dalszy na str. 8)

Był sygnał z Wymiarek

ICH "ZAŁATWIŁ" ZŁY MESSNER

EDWARD J. MINCER

Wiele załóg znajdzie się niebawem w podobnej sytuacji dzięki dobru Balcerowiczowi. W gospodarce nie ma bowiem miejsca na sentymenty, decydują tu twarde zasady ekonomii i przepisy prawa. Łatwo na ten temat teoretyzować, trudniej — sprawdzać nowe reguły gry na własnej skórze.

DECYZJA POLITYCZNA, INTERES...?

O likwidacji swej firmy dowiedzieli się 9 czerwca 1988 roku... z telewizji. Premier Messner, prezentując na Plenum KC PZPR przeznaczonych „pod młotek” gospodarczych bankrótów, wymienił także Zagańskie Huty Szkła. Próbowali się jeszcze ratować. 20 czerwca Rada Pracownicza podjęła uchwałę o zawiązaniu spółki z Przedsiębiorstwem Handlu Zagranicznego CIECH i Zakładami Sódowymi w Janikowie i Inowrocławiu. Nie zdążyli. Nazajutrz ukazało się stosowne rozporządzenie Rady Ministrów, w sześć dni później — bezpośrednio ich dotyczące rozporządzenie Ministra Przemysłu.

Za tą drastyczną decyzją przemawiała nie wypłacalność przedsiębiorstwa, blisko miliardowy dług w banku. Przeciwnie — wyraźna poprawa wyników od IV kwartału 1987 r. oraz podjęcie w lutym 1988 eksportowej produkcji szkliwa sodowego. Była to jednak — jak usłyszeli w Warszawie — przede wszystkim decyzja polityczna. Bezdyskusyjna. Szukanie „koźłów ofiarnych” reformy, padło m. innymi na nich.

Rock and Roll fajny jest...

(ciąg dalszy ze str. 7)

Na pierwsze zajęcia przyszło tu kilkuset potencjalnych tancerzy. Trzeba ich było podzielić „na dni” i na grupy. Interesu nikt na tym nie robił. Poza dziećmi oczywiście. Ich rodzice płacą za naukę pociech... 5 tys. miesięcznie, a Andrzej Gliwa 200 tys. złotych za salę. Bilans praktycznie wychodzi na zero. „Mam z tego masę potu i zajęte popołudnia” — mówi.

Rock and Roll dla dzieci to tylko taniec. Jeśli nie mają za sobą lat praktyki, nie tanczą żadnych ryzykownych figur. Co innego Andrzej z Beata, a potem z Kariną. Mają za sobą występy na Mistrzostwach Świata w Monachium i w Wiedniu, mistrzostwo i wice-mistrzostwo Polski w Rock and Rollu akrobatycznym. Zdobyli pierwsze miejsce na Turnieju Rock and Rolla im. B. Halley'a w Warszawie. Największy sukces, to IV Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Drzonkowie — pary z zastalowskiego klubu zdobyły tu 3 złote, 2 srebrne i 2 brązowe medale.

Nic nie obywat się jednak bez kropki goryczy. Andrzej Gliwa ukończył Kulturalno-Oświatowe Studium w specjalności tanecznej, ale dotychczas nie udało mu się otrzymać weryfikacji. „Specjaliści od tańca z zielonogórskiego urzędu mieli wątpliwości: czy taki Rock and Roll to jeszcze taniec, czy już sport?”

Andrzej Gliwa ma dziś 29 lat i będzie tańczył mimo wszystko. Czuje się młodo. „Wice-mistrz świata zawodowców ma przecież 48 lat, a poza tym widziałem jak nadzwyczajnie tańczy rocka pewien Amerykanin, który skończył siedemdziesiątkę”.

— Postawiłem całego siebie na jedną szalę — mówi Andrzej Gliwa — Teraz niech ktoś położy coś na drugą. Do tego trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam. Szukam sponsora, który lubi rock and rolla. Niekoniecznie musi tańczyć”.



Fot.: KRU-KRE

W skład Zagańskich Hut Szkła wchodziły trzy zakłady: w Ilowej, Łęknicy i Wymiarkach. Ten ostatni pragnął się usamodzielnic jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Ponowiono próbę na ostatnim czerwcowym posiedzeniu Rady Pracowniczej, uzyskując akceptację stosunkiem głosów 13:12. Załoga liczyła jeszcze na wykupienie „spod młotki” przez wojewodę. Nic jednak z tego nie wyszło.

W efekcie likwidacji powstały zatem dwie odrębne spółki: „Vitrosilikon” i „Hutsop”, których głównym udziałowcem stał się Fundusz Zmian Strukturalnych. Niby jeden właściciel, ale przy podziale wspólnego do tej pory majątku pojawiły się kontrowersje. Interes grupowy załogi „Hustopu” (czyli Wymiarek) przemawiał za utrzymaniem dotychczasowego status quo. Interes ogólnospołeczny (skarbu państwa) — za podziałem, gwarantującym równe warunki startu obu spółkom. Czyli — trzeba coś zabrać „lepsze” („Hutsopowi”), dodać „słabsze”. W Wymiarkach twierdzą, iż w grę wchodził też interes, powiedzmy, indywidualny. Likwidatorem ZHS wyznaczono byłego naczelnika Romana Kaczmarka, który miał zapewnione dyrektorskie stanowisko w „Vitrosilikonie”. Nic więc dziwnego, że dzielił „do siebie”, przejmując m. innymi oba ośrodki wczasowe w Czerniawie i Niechorzu, budynek mieszkalny w Ilowej, większą część transportu samochodowego. Po magłał mu w tym dziełnie (wg pracowników Wymiarek) stary komiliton, dawny radca prawny Huty, dziś sekretarz Rad Nadzorczych obu spółek, Kazimierz Spącier.

W ROLI „BIAŁYCH MURZYŃÓW”

Prezencjom załogi „Hutsopu” z powodu niewłaściwej parcelacji majątku, towa rzyszyło całkowite zaskoczenie nową

sytuacją wewnątrzorganizacyjną. Zniknął z horyzontu samorząd, pojawiła się Rada Nadzorcza, złożona z przedstawicieli udziałowców (Fundusz Zmian Strukturalnych — 98 proc., Bank Gospodarki Krajowej i Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska w Zielonej Górze) oraz jednoosobowy Zarząd (w osobie dyrektora Andrzeja Borkowskiego). Zamiast ustawy o przedsiębiorstwie państwowym obowiązuje kodeks handlowy. Pracownicy z dnia na dzień stwierdzili, że właściwie nie od nich nie zależy, że jak „dzieci i ryby” nie mają prawa głosu.

„Jesteśmy po prostu „białymi Murzyńcami” — mówią zgodnie Czesław Łaeny, przewodniczący zakładowej „Solidarności” i Janusz Nowogrodzki z OPZZ.

Poczucie społecznej niesprawiedliwości i krzywdy nie sprzegło się niestety ze znajomością podstawowych przepisów prawa. Kiedy zatem, po reaktywowaniu „S”, oba związki przystąpiły zgodnie do „walki o swoje”, prowadziły ją całkowicie „na oślep”, wbrew obowiązującym regułom gry. Pisali do Sejmu, NIK-u, Prokuratury Generalnej, senatora Piotrowskiego. Ba, złożyli też pozew w sądzie gospodarczym domagając się: unieważnienia regulaminu wynagrodzeń i premii; zobowiązania Rady Nadzorczej do utworzenia Rady Pracowniczej; zbadania czy utworzenie spółek było zgodne z prawem PRL i czy podział majątku dokonano w sposób prawidłowy. Wyobrażam sobie konsternację sędziego, czytającego te żądania. Wynik mógł być tylko jeden — oddalenie pozwu z uwagi na całkowitą niekompetencję sądu w owych sprawach.

Wystosowali również 19-punktowe pismo do dyrektora Borkowskiego, domagając się przeważnie tego, do czego... absolutnie nie mieli prawa. W efekcie toczoną na co dzień walki podjazdowej dyrektor znalazł się między związkowym młotem i kowadłem Rady Nadzorczej. Wreszcie, zdesperowani, będąc o krok od akcji protestacyjnej, wezwali na pomoc Zarząd Regionu „Solidarności” w Zielonej Górze.

JUTRO BĘDZIE...?

Interwencja Regionu przyczyni się, być może, do „uzdrowienia stosunków” między dyrektorami i reprezentującymi załogi związkowcami. Przy wzajemnej dobrej woli, w drobnych, bieżących sprawach możliwe będą pewne kompromisy. Nie w tym jednak tkwi istota rzeczy. Dyrektorskie kompetencje określa wszak Rada Nadzorcza, ona jest w sądzie głównym decydem (choć w tematach „strategicznych”, zależnym od Walnego Zgromadzenia udziałowców). Należy więc rokować z Radą — i takie właśnie, pieważ w historii spółki spotkanie przewidziano w końcu kwietnia. Niestety, w sytuacji, gdy produkowane w zakładzie szkło „nie idą”, pozycja przetargowa związkowców nie jest najlepsza. Ewentualny strajk byłby może udziałowcom na rękę...

Rozwiązaniem perspektywicznym byłoby po prostu wykupienie przez załogę części udziałów. Wtedy jej przedstawiciele mogliby współdecydować o żywotnych problemach zakładu. Nie wiadomo jednak, czy Fundusz Zmian Strukturalnych zechce owe udziały odsprzedać, nie wiadomo też, skąd wziąć sięgającą miliardów złotych kwotę.

Póki co, sympatyczny działacz związkowy i pozostali pracownicy „Hutsopu” muszą wreszcie zrozumieć: dura lex, sed lex — surowe prawo, lecz prawo. Uprawnienia związków za wodowych nie są tożsame z uprawnieniami samorządu załogi. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością rządzi się zupełnie innymi regułami, niż przedsiębiorstwo państwowe. I nie ma tu nic do rzeczy, że głównym jej udziałowcem jest pośrednio skarbu państwa.

— ★ —

Psiochymy wszyscy na realny socjalizm, na panujące w nim stosunki gospodarcze, na jego ideowe — bankructwo. Domagamy się gospodarczej rewolucji, jak najszybszych przekształceń własnościowych, wejścia na „polską drogę do kapitalizmu”. Musimy jednak pamiętać, że ta róża ma i kolce. Gdy państwo we (a tak naprawdę — niczyje) zakłady przejdą w prywatne ręce, poznamy kapitalizm od gorszej jego strony. Pozostaje nadzieja, że w ogólnym rozrachunku naprawdę się to opłaci.

SZKOŁA BEZ STRESU

PIERWSZE SPOTKANIE Z DYREKCJA

Powstająca w Zielonej Górze na osiedlu „Przyjaźni” Szkoła Podstawowa nr 22, o profilu ekologicznym wywołuje coraz większe zainteresowanie. Ta świeża, nowatorska w naszym skostniałym systemie oświatowym, inicjatywa spotyka się z reakcjami życzliwymi, często entuzjastycznymi, ale także z opiniami złośliwymi. Kwestionującymi sens tego przedsięwzięcia, uszczypliwymi uwagami, urojonymi obawami na wyrost lub ze zwyczajnymi plotkami. Wszystko to, miejmy nadzieję, wynika ze zbyt skąpych informacji.

Trochę zamętu spowodowało określenie „szkoła społeczna”, używane przez organizatorów w początkowym stadium. Powstające w kraju szkoły prywatne, są określane przymiotnikiem „społeczne”, zaś nasza, zielonogórska, jest szkołą państwową, do której będą chodziły dzieci z określonego rejonu. Społeczny jest natomiast sam pomysł, społeczne są działania organizatorskie, społeczne są zasady przyszłego funkcjonowania tej szkoły.

Statut SP 22 gwarantuje dzieciom wszechstronny rozwój fizyczny, intelektualny i duchowy (w dotychczasowym statucie szkół podstawowych o rozwoju duchowym nie było mowy) oraz mówi o wychowaniu twórczym i świadomych swego miejsca we wszechświecie obywateli. Ważnym punktem jest: kształtowanie światopoglądu nie sprzecznego z wyznaniem rodziców uczniów i określenie szkoły jako terenu wolnego od walk politycznych. Jednym z obowiązków nauczycieli jest nieindoktrynowanie uczniów w kierunku swoich politycznych przekonań.

Skutkiem zamierzonym procesu wychowawczego, jest przeżywanie przez każdego ucznia swojej sprawności, użyteczności oraz radości płynącej z poczucia własnej wartości. O radości dziecka w szkole nie mówi dotychczas żaden statut. Musieliśmy to zapisać — mówią organizatorzy — bo nie chcemy, by dziecko było przedmiotem w zamkniętej przestrzeni. Ma czuć się swobodnie, użyteczne, szczęśliwe, niezależnie od tego, czy jest zdolne czy nie.

Najistotniejszym wyróżnikiem w organizacji szkoły, jest jej organ nadzórny, czyli Rada Szkoły (a więc nie kuratorium i nie wydział oświaty), która jest ciałem społecznym i składa się z reprezentantów rodziców i samorządu terytorialnego. Rodzice mogą powoływać do Rady specjalistów edukacji spoza swego grona. To ważne bo kompetencje Rady są olbrzymie, m.in. zatrudnianie i zwalnianie dyrektora (za zgodą Rady Pedagogicznej), kontrola przebiegu procesu dydaktycznego i wychowawczego, kontrola spraw materialnych i finansowych.

Tyle na razie informacji ogólnych. O szczegółach bardzo wnikliwie pytali rodzice podczas pierwszego spotkania z dyrektorem. Na pytanie odpowiadał: dyrektor SP 22 Wiesław Wolyniec i Irena Faron — obecnie nauczycielka SP 10, a od nowego roku szkolnego zastępca dyrektora SP 22 ds. edukacji ekologicznej.

— Co to znaczy profil ekologiczny szkoły? Proszę wyjaśnić, co to jest ekologia.

— Ekologia jest postawą człowieka wobec siebie samego i wobec otaczającego świata polegająca na naturalnej harmonii. Człowiek musi współżyć zgodnie z samym sobą, ze społeczeństwem, z przyrodą ożywioną i nieożywioną. Cywilizacja, a szczególnie warunki, w jakich żyjemy, zakłócają tę harmonię. Trzeba się uczyć postaw ekologicznych, najlepiej od początku, czyli od dziecka.

W naszej szkole będzie system multidyscyplinarno-integracyjny, który polega na wprowadzeniu treści ekologicznych do poszczególnych przedmiotów, zwłaszcza humanistycznych. Od klasy II dzieci będą miały przedmiot „kultura ekologiczna”. Będziemy systematycznie wdrażać każdego ucznia w osobistą kulturę ekologiczną — w zasady higieny, zasady zdrowego żywienia (na zajęciach praktycznych i przez zdrowe żywienie w stołówce), zasady harmonijnego ruchu (poprzez rytmikę dla wszystkich klas i dodatkową lekcję ruchową z wychowawcą).

— Ilu będzie uczniów? Czy nauka będzie na zmiany?

— W naszym rejonie jest 1065 dzieci. Szkoła natomiast na jedną zmianę, może pomieścić 720. Będziemy więc uczyć w systemie zmianowym, klasowo-lekcyjnym. Mamy 24 sale, przewidujemy 42 oddziały. Być może, w pierwszym roku nie będzie wszystkich klas, na przykład ósmych, bo uczniowie na ostatni rok nauki nie będą chcieli opuścić swoich dotychczasowych szkół. Ale jeśli rodzice będą sobie życzyli, jesteśmy przygotowani także na ósme klasy. Szkoła będzie miała klasy zerowe. Ich ilość będzie zależała od możliwości uzyskania pomieszczeń w budującym się obok przedszkolu. Jeśli przedszkole nie będzie w pełni obłożone, być może uda się zrealizować projekt utworzenia zespołu szkoła-przedszkole. Wtedy najmłodsze klasy mogłyby uczyć się w kameralnych warunkach, tym samym w szkole byłoby luźniej.

— Jak będzie wyglądała nauka języków obcych. Czy jest możliwość dodatkowej nauki, za odpłatnością?

— Język angielski będzie obowiązkowy od klasy I. W klasach I—IV — 2 godziny tygodniowo, od klasy V — 4 godziny tygodniowo. Język niemiecki będzie nadobowiązkowy w klasach I—VIII — 2 godziny tygodniowo. Niemiecki może stać się również obowiązkowy, ale to zależy od rodziców. Nadobowiązkowy będzie rosyjski i będziemy go nauczać w takim zakresie, jaki dzieci miały w swoich szkołach dotychczas. Każdy uczeń przychodzący do nas z innej szkoły ma więc szansę dokończyć pełny program tego języka przewidziany dla szkół podstawowych.

— Wiadomo, że brakuje nauczycieli języków. Skąd macie anglistów? Czy „wyjęliście” ich z innych szkół?

— 4 osoby są świeżo po studiach. 3 osoby ukończyły inne kierunki nauczycielskie i mają także uprawnienia do nauczania angielskiego. Nie podbieraliśmy anglistów z innych szkół. Jedna osoba przyjechała z Anglii, obiecano nam dwie osoby z Korpusu Pokoju, które będą uczyć nauczycieli.

— Jakimi kryteriami kierował się pan w doborze kadry?

— Jest już skompletowany zespół. Spośród 200 kandydatów, wybrałem 64 osoby. Większość z nich to młodzi ludzie po studiach. Nasi nauczyciele nie mogą mieć żadnych nałogów (szkoła jest strefą beznikotynową), nie mogą mieć niszczącej postawy wobec siebie samych. Każdy nauczyciel oprócz swojej specjalności musi mieć jeszcze jakieś zainteresowania, umiejętności użyteczne dla szkoły, np.: ekologia, wychowanie fizyczne, taniec, muzyka, turystyka języki obce. To jest ważne, bo odchodzimy od włączania dzieciom informacji na rzecz ruchu, pobytu na świeżym powietrzu radości obcowania z przyrodą,

swobodnej atmosfery, przeżywania szkoły bez stresu. Jesteśmy przygotowani na prowadzenie przeróżnych sekcji, zajęć dodatkowych. Wszystkich nauczycieli obowiązuje kształcenie się w dziedzinie ekologii, wszyscy muszą uczyć się angielskiego.

— Bardzo mi się podoba zapis w statucie, że dziecko ma być szczęśliwe, ale jakie są gwarancje, że ta szkoła będzie wolna od stresu?

— Zrobimy wszystko, by tak było. Już sam fakt, że nauczyciele będą mieli więcej swobody, będą mogli decydować, czego, w jakim zakresie i jakim sposobem uczą, spowoduje pozytywne motywacje, postawy twórcze. My wierzymy, że to się uda. Państwo przekonacie się w praktyce.

— Mnie bardziej od języków i dodatkowych zajęć interesują przedmioty zasadnicze — matematyka, fizyka, chemia. Czy nasze dzieci wyniosą z tej szkoły dostateczną wiedzę? Czy początkujący nauczyciele zapewnią taki poziom, by dobrze przygotować dzieci do szkół średnich?

— W naszej szkole obowiązuje minimum programowe, które musi być zrealizowane. Podobnie zresztą jak w innych szkołach. Na to minimum przeznaczamy 60—70 proc. czasu w każdym przedmiocie. Resztę zajmą treści ekologiczne, ruch, muzyka, oczywiście w powiązaniu z przedmiotami głównymi. Nauczyciele będą pracować według własnych programów autorskich lub według programów opracowanych przez grupę, np. polonistów. Uważam, że młodość kadry (średni staż pracy 5 lat) nie jest mankamentem, lecz atutem.

— Czy to prawda, że w szkole nie ma sali gimnastycznej? Co będzie z wychowaniem fizycznym?

— Nieprawda. Oprócz sali przewidzianej w projekcie budujemy jeszcze dwie sale gimnastyczne mniejsze, bo zamierzamy wprowadzić poszerzony program wychowania fizycznego, a także szerokie uprawianie sportu poza lekcjami. Właśnie pod tym kątem dobieraliśmy kadrę i nasi nauczyciele mają dodatkowe kwalifikacje od koszykówki do rytmiki.

— Czy ta szkoła na pewno ruszy we wrześniu?

— Musi ruszyć. Nie śmiem prosić, ale jeśli rodzice pomogą, to przez te kilka miesięcy można wiele zrobić. Od stycznia prace na budowie znacznie posunęły się do przodu. Mamy już w 80 proc. zakupiony sprzęt.

— Czy takiego programu nie można zastosować w innych szkołach, by wszystkie dzieci mogły uczyć się bez stresu?

— Ten program rodził się przez kilka lat. Chętnie będziemy współpracować z innymi szkołami. Nic nie przeszkadza, by szkoły porównywały się na eksperymenty metodyczne, organizacyjne, pedagogiczne. Taką możliwość daje ustawa z 16 listopada 1989 mówiąca o innowacjach i nowatorstwie w szkołach w ramach obowiązujących planów i programów nauczania. Nie trzeba tu specjalnych uprawnień. Wystarczy decyzja dyrektora w porozumieniu z Radą Pedagogiczną.

— ☆ —

Na zakończenie rodzice zaproponowali jeszcze jedno spotkanie przed wakacjami, aby ustalić co, kto i kiedy będzie dla szkoły robił.

LUCYNA MAŁACHOWSKA-GRABOWSKA

DIETER BOHLEN

ROZMAWIA BOGDAN KUNCEWICZ — SPECJALNIE DLA „GN”



BOGDAN KUNCEWICZ: Dzisiejsza muzyka — właśnie taka jak Twoja zdominowana jest przez komputery — ba, cały przemysł komputerowy. Czy nie uważasz, że straciła ona swój naturalny charakter?

DIETER BOHLEN: To zależy. Często potrzebuję komputera by nie robić błędów — tych podstawowych, kiedy uderzenie nie jest w 100 proc. takie, jakie chciałem. Ale przecież on nie dominuje! To człowiek powinien być ponad komputerem — ponad całym przemysłem komputerowym — całą techniką, która ma za zadanie jedynie pomagać. Dla mnie jest istotne aby moja muzyka brzmiała tak samo, gdy zagram ją na pianinie czy gitarze — musi odzwierciedlać ten sam klimat. Zauważ, pracuję również z samymi „naturalnymi” — klasycznymi instrumentami. Zacząłem pisać musical w Nowym Jorku, gdzie pracuję z całą orkiestrą — tj. 120 muzyków — i to bez

komputerów. Musical nosi tytuł „Magiczna symfonia”.

B.K. — Jaka będzie fabuła tego musicalu?

D.B. — Głównym bohaterem „Magic symphony” jest mały czarodziej. Jest to baśń w stylu „małego księcia”. Główny bohater chce w sekwencjach snu ulepszyć świat. Jego problemami są: głód w Afryce, dyskryminacja rasowa, zanieczyszczenie środowiska.

B.K. — Myślę, że temat jest ciekawy, zastanawiam się jedynie, dlaczego jest to w stylu baśni?

D.B. — „Mały książę” wywarł na mnie olbrzymie wrażenie. Do dzisiaj lubię wieczorami swojemu synkowi czytać różne baśniowe historyjki.

B.K. — Sprawiasz wrażenie człowieka, który sądzi, że jego miejsce i rola w dzisiejszym świecie jest olbrzymia...

D.B. — Muzyka nie jest warta by o niej mówić. Wiem doskonale, że nie można nic zmienić na świecie poprzez muzykę, która nie nie znaczy np. przy polityce. Chcę jedynie dać ludziom odprężenie, gdy wracają z pracy, gdy są sfrustrowani, zdesperowani. Chcę, aby mieli trochę radości słuchając moich piosenek. Jest sporo rzeczy o wiele ważniejszych niż moja muzyka — np. wasz rząd — możliwości Lecha Wałęsy, czy też fakt, że ludzie w Polsce muszą stać w kolejkach po mięso.

B.K. — Ale czujesz się potrzebny?

D.B. — Nie wiem czy ludzie mnie potrzebują — nie mam takiego uczucia. Jeśli dają mi radość, jestem szczęśliwy. Ale nie uważam bym był taki ważny. O to, czy jestem potrzebny musisz zapytać publiczność, która przychodzi na moje koncerty, kupuje płyty i kasety z moimi nagraniami.

B.K. — W Twoich wypowiedziach przewija się również wątek polityczny. Czy interesujesz się polityką?

D.B. — Owszem, tak jak każdy dorosły człowiek, chcę wiedzieć co wokół mnie się dzieje, komu się dobrze żyje, jakie tragedie rozgrywają się na świecie. Czasami czuję się bardzo niepewnie jako człowiek, któremu przyszło żyć.

B.K. — Czy chciałbyś urodzić się gdzieś indziej?

D.B. — Nie, dobrze się czuję w Niemczech. Mam dobrobyt, a w domu mam same luksusy.

B.K. — Nie czujesz — jak Twoi rodacy — niechęci do Polaków?

P. S.: W Szczecinie rozmawiałem z profesorami Zarembą i Głowackim. Ten ostatni zaskoczył mnie twierdzeniem, że granice Polski będą zabezpieczone i pewne, w przypadku, gdy zjednoczone Niemcy pozostaną członkiem NATO. Takie słowa w ustach polskiego profesora były dla mnie niespodzianką.

K. S.: W Polsce uważa się, że wielkie 80-milionowe Niemcy nie związane z jakimkolwiek paktem, mogą być dla Europy bardzo niebezpieczne.

P. S.: To, co usłyszałem podczas licznych prywatnych rozmów bardzo mnie ucieszyło. Mówiono mi, iż wprowadzić zaniepokojenie rozwojem wewnętrznej sytuacji w Niemczech jest duże, ale jednak jest też spora doza zaufania w to, że tym razem Niemcy zachowają rozsądek i utrzymają demokratyczny kierunek przemian.

K. S.: Przyjechał Pan tu, po to, by usłyszeć to, o czym i tak już wcześniej wiedział. Trudno przecież wyobrazić sobie, aby ktokolwiek w Polsce kwestionował naszą zachodnią granicę.

P. S.: Tak, już mówiłem, że mój stosunek do granicy był absolutnie jasny od dawna. Najwyższy już czas, by inni ludzie uświadomili sobie to, że granice ustanowione po wojnie są takie jakie są: niepodważalne. Mar-

D.B. — Nic mi nie wiadomo o takich od-czuciach moich rodaków. Moi znajomi, ludzie z mojego otoczenia nie dyskryminują żadnej rasy ludzkiej. A na temat polskich dziewczyn słyszałem, że są najlepsze na świecie...

B.K. — W jakim sensie?

D.B. — Przede wszystkim pod względem posiadanej urody.

B.K. — Ponoć Amerykanie zwrócili szczególną uwagę na Ciebie, jako kompozytora?

D.B. — To prawda, piszę teraz utwory dla Barry Manilowa, Dionnie Warwick czy Taylor Dayne. Ale najważniejszy jest dla mnie oczywiście Blue System.

B.K. — Czy jesteś jeszcze zły na C.C. Catch, że poszła swoją drogą?

D.B. — Nie będę ukrywał, że początkowo byłem przygnębiony jej odejściem. Ale dzisiaj ją rozumiem. Nie jesteśmy wrogami. Po- stanowiłem sobie, że nie będę do tych spraw podchodził emocjonalnie, bowiem każda kłeska, każde rozstanie boli. Tak było z Thomasem Andersem a później z C.C. Catch.

B.K. — Ponoć jednym z powodów odejścia od Ciebie C.C. Catch było to, że jesteś skąpy?

D.B. — Ja? To absurd, wręcz przeciwnie. Wszyscy moi muzycy otrzymują najwyższe ga- ze... Firma płytowa przecież płaci za wszyst- ko. Jestem tylko producentem na zlecenie. A ludzie, niestety często przeceniają moje zarob- ki.



Fot.: TADEUSZ WYSZYŃSKI

twimy się raczej o to, by okropne słowo granica straciło dawną grozę, by można było nawiązywać międzyludzkie kontakty bez biurokratycznych utrudnień i krępujących przepisów. To one właśnie stoją na drodze pojednania.

OKROPNE SŁOWO GRANICA

K. S.: 18 marca, podczas wyborów, byłem w NRD. Jeden z mieszkańców Cottbus powiedział mi, że zna wielu Polaków niezadowolonych ze swojej wschodniej granicy, dlatego więc on, mieszkający 50 km od granicy na Odrze i Nysie miałby ją traktować jako zupełnie pewną i raz na zawsze ustaloną, dlatego nie miałby prawa do wątpliwości...

P. S.: Sądzę, że jako Niemiec nie mam prawa wtrącać się do tych spraw i proponować abyśmy teraz wymieniali się kawalkami utraconych terenów. Kłóla historii nie da się zawrócić, a to o czym mówimy stało się 50 lat temu! Myślę, że obecni mieszkańcy dawnych wschodnich terenów Polski, byłoby tak samo nieszczeniwi, gdyby ktokolwiek próbował zmieniać istniejący stan rzeczy, jak nieszcze-

C.C. CATCH

ROZMAWIA BOGDAN KUNCEWICZ — SPECJALNIE DLA „GN”

BOGDAN KUNCEWICZ — Potocznie określają Cię mianem „królowa dyskotek”.

C.C. — To chyba przez image Dietera Bohlena, który pisał dla mnie piosenki w stylu disco. Ponadto, zrobiłam ostatnio wiele dyskotekowych programów dla telewizji. Popularność ich mogła także spowodować, że to miano fani mi przypisali. Ale prawdę mówiąc, nie wiem czy jest to właściwe określenie dla mnie. Nie czuję się i nie chcę być określana przez muzykę i piosenki Bohlena.

B.K. — Ale fakt pozostaje faktem. Publiczność sama decyduje, kto ich zdaniem do tego miana jest najbardziej predystynowany w danym okresie. Założę się z Tobą, że gdybyś miała tę renomę poprzez określenie „królowa dyskotek”, co Glona Gaynor czy Donna Summer — czarne wykonawczynie muzyki disco, które zawsze dominowały nad „białymi” — choćby Tina Charles, to byłabyś bardziej zadowolona z kwalifikacji Twoich fanów...

C.C. — Trudno mi powiedzieć. Ale z kolei też nie uważam by można było mnie porównać z Tina Charles, bowiem jesteśmy zupełnie inne, pomimo, że Tina też kiedyś była „królową dyskotek”. Czasy i muzyka od okresu popularności Tyny bardzo się zmieniły — nabrały innego wyrazu. Trudno jest powiedzieć czym będzie różniła się muzyka następnej „królowej dyskotek” od mojej, przecież przemysł muzyczny bezustannie się rozwija.

B.K. — Twoje zerwanie z Bohlenem było nagłe, odnosiliście sukcesy za sukcesem, aż tu nagle dowiedzieliśmy się, że już nie jesteście z Dieterem.

C.C. — To prawda, przez ostatnie lata współpracowało nam się świetnie. Ale niestety, Dieter chciał robić wszystko sam, nie dając mi żadnej satysfakcji z pracy. W tej chwili muzyka stała się jakby bardziej moja. To naprawdę jest wspaniałe uczucie być samodzielny. W obecnej chwili pracuję już z nowymi producentami w Londynie, i jak na razie jestem bardzo zadowolona z tej współpracy. Mam nadzieję, że efekty mojej nowej pracy, jak też mnie inna, zaakceptują moi fani.

B.K. — Czy to oznacza, że Twoja muzyka zmieni się choć trochę?

C.C. — Tak, będzie bardziej moja.

B.K. — Nie jesteś więc typową przedstawicielką showbusinessu, dla której najważniejszy byłby przede wszystkim komfort finansowy?

Śliwi byłiby Polacy mieszkający obecnie na Ziemiach Zachodnich

K. S. — W NRD miałem wrażenie, że Niemcy pochłonięci są wewnętrznymi problemami i na nic więcej nie zwracają uwagi. Ze zdziwieniem np. obserwowałem brak zaintereso-

Konrad Stanglewicz rozmawia z Peterem Sagerem, reporterem DIE ZEIT z Hamburga

wania dziennikarzy polskimi opiniami na temat przyszłych dobrosąsiedzkich stosunków, czy też współpracy z Polską. Gdyby ten stan miał trwać dłużej, byłby to groźny sygnał.

P. S. — Ma pan rację. W tej chwili Niemcy zapatrzeni są we własne problemy. Są pępkiem świata — przynajmniej we własnych oczach. Ale tak nie może być na dłuższą metę, Niemcy nie mogą żyć w izolacji od europejskich narodów. Zwłaszcza, że różne zastrzeżenia co do niemieckiej jednności mają nie tylko Polacy, ale i Holendrzy, Francuzi, a nawet Anglicy, słowem ci, którzy od Niemców nie zaznali tylko samej dobroci. Myślę, że na tym właśnie polega przesłanie reportażu, który tu przygotowuję.



Fot.: TADEUSZ WYSZYŃSKI

C.C. — Najważniejsza dla mnie jest satysfakcja z wykonywanej pracy. Uczucie, że coś od ciebie zależy, że osiągnięty sukces jest w znacznej mierze wynikiem twojej indywidualności, twojego pomysłu, twojego myślenia — rozumienia — i wreszcie twojej pracy.

B.K. — A jakie elementy decydują o sławie? Czy jest to jedynie talent, szczęście i praca?

C.C. — Myślę, że wszystkie te elementy razem wzięte mogą być receptą na osiągnięcie celu, którym w moim przypadku będzie popularność czy nawet sława. Musi być trochę szczęścia — ale przede wszystkim jest to bardzo ciężka praca, która również oszłifowała talent — wzbogaca go. A tak generalnie, wcale nie jest łatwo być „gwiazdą” — za tym kryje się wiele trudności i wyrzeczeń. Jestem zmuszona pisać piosenki, pracować z tance-

rami — nawet w chwilach, kiedy najchętniej robiłabym coś innego. Ale tak generalnie, lubię to — a nawet kocham swój zawód.

B.K. — Ale czy czasami nie masz dosyć, że jesteś popularna, nie chciałabyś najchętniej „rzucić” swój sukces w ką i rozpocząć życie od nowa, na zupełnie innych obrotach?

C.C. — Nie czuję się zmęczona tym co robię. Ale nie będę ukrywała, że są chwile kiedy chciałabym zostać w domu, albo wyjść gdzieś w zaciszne miejsce, a tu trzeba jechać setki kilometrów na koncert. Praca, którą wykonuję wyczerpuje, więc często potrzebuję spokoju by nabrać nowych sił — po prostu zregenerować się. Ale nigdy nie myślałam o rezygnacji z zawodu. Myślę, że jest to niemożliwe abym kiedyś zdecydowała się na życie w innej tonacji, bez muzyki.

B.K. — Czy jesteś pazerna? Czy za wszelką cenę — nie patrząc na koszty chcesz osiągnąć to co zamierzałaś?

C.C. — Tak, jestem uparta, jeżeli coś sobie wytyczę jako cel, to uparcie do tego zmierzam. Ale zależy o jakich kosztach myślisz. Nigdy nie jest to kosztem ludzi — moich znajomych, czy bliskich mi osób.

B.K. — Kto Tobie imponuje najbardziej swoją estradową osobowością?

C.C. — Zafascynowana jestem Madonną.

B.K. — Czy w Twoim stylu są również skandale i afery a la Madonna?

C.C. — O nie, pod tym względem całkowicie się różnimy.

B.K. — Odnoszę wrażenie, że nie darzysz sympatią Polaków...

C.C. — Lubię Polaków — lubię całą Polskę, pomimo, że często negatywnie mówi się o was. Nie czuję do Polaków żadnej antypatii. Ponoć nie macie najlepszej sytuacji bytowej, ale to nie wasza wina.

B.K. — Ale gdy przyjechałaś do sopockiej Opery Leśnej na koncert nie byłaś w najlepszym nastroju. Czy wiesz, że po naszym umówieniu się na wywiad kazałaś mi czekać przed garderobą piętnaście minut, gdzie w tym czasie popijałaś sobie szampana?

C.C. — Byłam trochę zdenerwowana, bowiem powinnam wystąpić na scenie Opery Leśnej o 22.30. Ale potem zapadła decyzja, że muszę wystąpić na samym początku festiwalu. Musiałam więc się spieszyć. Plany zmieniały się aż dwa razy. Ponadto byłam trochę zmęczona. Na sopocki koncert przyjechałam prosto z Londynu, gdzie mieszkam obecnie. Wcześniej miałam koncert, potem samolot, a następnie samochodem z Warszawy prosto do Sopotu. Nie dziw się więc, że jestem wyczerpana.

B.K. — Ponoć znaczny wpływ na Twoje złe samopoczucie miał fakt, że Dieter Bohlen wystał na zeszłorocznym sopockim festiwalu przed Tobą?

C.C. — Bzdura! Nie jestem wrogiem Bohlena.

grubego aluminium lub teflonowych. Na blaszanej patelni omlet się przypali.

Omlet uda się na pewno, gdy go przygotujemy w następujący sposób: Umyte ciepłą wodą jajka (4 szt.) ubijemy krótko widelcem dodamy dwa jaja wody (odmierzamy skorupką) szczyptę soli i płaską łyżkę mąki krupczatki lub drożdżowej. tartą bułkę Masę natychmiast wylewamy na patelnię z bardzo rozgrzanym, lekko przyrumienionym masłem. Gotowy omlet zsuwamy do odpowiedniego naczynia (ja do tego celu wykorzystuję tortownicę) na wierzchu nakładamy przygotowaną masę mięsna — i następny omlet. Całość lekko kropimy roztopionym masłem (kto lubi może posypać utartym serem) i trzymamy w ciepłym piekarniku by tort na wierzchu zrumienił się. Podajemy na wygrzanych (w tym samym piekarniku) talerzach pokrojony w romby jak tort, do tego surówkę (pasuje każda) i czerwony barszcz w filiżankach. Będzie to wspaniały, poświęcony obiad, na pewno wspominany przez domowników i — mimo pozorów pracowitości — dużo łatwiejszy i szybszy w przygotowaniu niż tradycyjny.

Gdy boimy się piec omlety, bo — a nuż się nie uda — lub są za długie (8 jaj) — możemy tak samo przygotowanym farszem smarować zwyczajne, ale bardzo cienkie naleśniki. Składać je w koperty i lekko zasmażyć — same, lub jako krokietki maczane w roztrzepanym jajku i tartą bułkę. Jako dodatek — każda surówka i czerwony barszcz w filiżankach.

EWA ARZKIEWICZ

Tort...

Święta, Święta — i po Świętach. Domownicy goście nie zjedli przygotowanych przez nas tak pracowicie potraw. Niebardzo wiadomo, jak te pozostałości zagospodarować. Z upieczonych mięs pozostały bardziej tuste kawiki, zostały resztki sosów plasterki lub końcówki obsuszonych wędlin czy niedojedzonych, odkrojonych grzanych kiełbas. Tradycyjnie resztki takie służą do przygotowania poświęconego bigosu, ja proponuję przygotowanie z tych resztek znakomitego dania obiadowego.

Tort omletowy nadziewany mięsem.

Na wiosnę jajka są najtańsze, poza tym — co niezwykle ważne są świeże, z pięknymi prawie czerwonymi żółtkami, a więc tylko trochę pracy i mamy wspaniały, niedrogi, lekki poświęcony obiad.

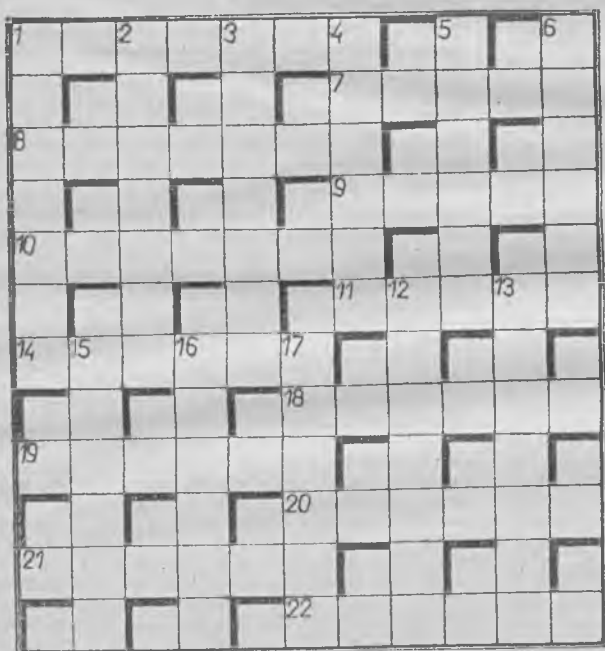
Wszystkie resztki mięs i wędlin przepuszczamy przez maszynkę dodając w trakcie mielenia jedną dużą, podsmażoną cebulę, i — gdy nas na to stać — kilka podsmażonych pieczarek. Masę łączymy z pozostałym sosem od pieczenia, gdy masa zbyt gęsta — rozprowadzamy odrobiną śmietany, przecieru pomidorowego lub rosolu, poprawiamy do smaku. Dla 4-5-cio osobowej rodziny smażymy dwa omlety — każdy z czterech jaj, pamiętając, że należy je smażyć wyłączenie na masywnych patelniach żeliwnych, z

WESÓŁYCH ŚWIAT!



M. Cielko.

Krzyżówka nr 14



POL ZARTEM...

POZIOMO: 1) chciwe państwo, 7) uszy, szyja dawno nie myte, 8) klozet w dziale ornitologii, 9) muzyczny totem, 10) wykład w kilku zdaniach, 11) muł bez krwi, 14) zapada — nie da się cofnąć, 18) żniwny pajęczak, 19) druk, 20) dżdżysty paluch, 21) domochody, 22) natura z urazem.

PIONOWO: 1) robi w Au, 2) kamasz baleriny, 3) wodna granica miasta w dopciniazu, 4) ksiądz wśród trzech, a w zasadzie czterech, 5) stop dla powietrza, 6) nie tu — nie tu, 12) za to Krzyż, 13) właściciel łona dla wszystkich, 15) ryba na macie, 16) szacher-, 17) ustęp bez sedesu.

Rozwiązanie krzyżówki należy nadsyłać pod adresem redakcji do dnia 23 IV 1990 r. Na kopercie należy nakleić kupon (numer krzyżówki). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrodę.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z N-ru 11

Poziomo: mazurek, ruada, gazetka, wiata, astenia, trawa, chałat, renons, krówka, sygnel, konina, tantal.

Pionowo: miglanc, zrutka, rotunda, krawat, zasada, fasada, Rentgen, wi-nieta, horror, jawnik, trasat.

Nagrodę wylosowała Helena Borska z Zielonej Góry. Nagroda do odebrania w redakcji.

KONKURS: Czyje to słowa?

Od kilkunastu tygodni, na łamach „Gazety Nowej”, o sobie, swoim życiu i tak zwanej karierze opowiadają gwiazdy estrady, filmu, teatru, postacie znane z telewizyjnego ekranu. Nie brak w tych wywiadach refleksji — o ludziach, codziennych troskach, własnych rozterkach...

Z każdego wybraliśmy jedno zdanie, a odgadnięcie kto jest jego autorem — będzie już zadaniem Państwa. Wierzymy, że rozwiązanie naszego świątecznego konkursu nie sprawi kłopotu stałym i uważnym czytelnikom „GN”, pozostawiamy radzimy zajrzeć do wcześniejszych numerów tygodnika i dokładnie przeczytać wszystkie zamieszczone w nich wywiady.

Oto dwanaście zdań rozmówców „GN”:

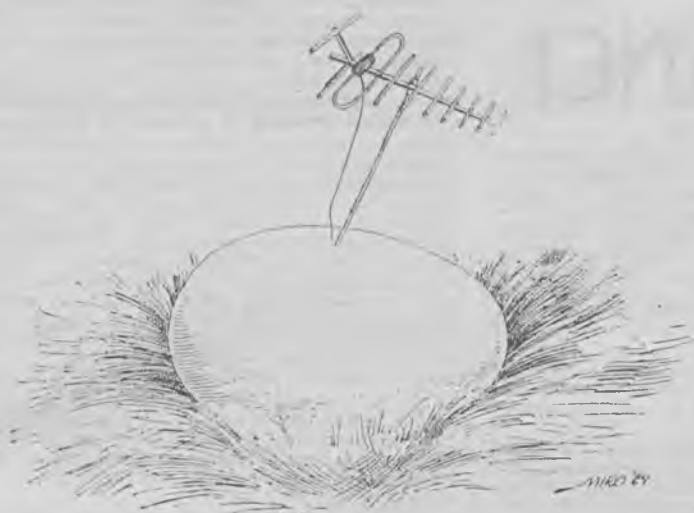
- „Wytykają mi ponurą minę, brak uśmiechu”.
- „Nie lubię kobiet mało zdecydowanych, które nie wiedzą czego chcą”.
- „Śmiejemy się przeważnie z tego, z czego nie powinniśmy — nie posiadamy żadnego poczucia humoru”.
- „Nie stać mnie na utrzymanie własnych dzieci, a co dopiero agenta czy sekretarki”.
- „Brakowało mi w dzieciństwie kogoś, kto by mógł mi powiedzieć, na ile mnie stać”.
- „Romeo w moim wykonaniu to były telewizyjne wyglupy”.
- „Najłatwiej jest krytykować — wytykać ludziom ich błędy, wady, słabości”.
- „Cóż, jestem normalną kobietą, więc nie w tym dziwnego, że lubię seks”.
- „Najpierw jednak trzeba coś osiągnąć, żeby móc liczyć na zapłatę”.
- „Sam lubiłem oglądać komedie, westerny i filmy o miłości”.
- „Postanowiłem sobie, że do „czterdziestki” muszę skończyć dom i spłacić długi”.
- „Jestem człowiekiem gwałtownym, spontanicznym — ale chyba o dobrym sercu”.

Rozwiązanie (literka obok zdania, imię i nazwisko rozmówcy „GN”) należy nadsyłać w terminie do dnia 25 kwietnia pod adresem — Redakcja „Gazety Nowej”, pl. Boh. Stalingradu 13, 65-067 Zielona Góra. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy nagrodę — 100 tys. złotych.

LIMERYKI ŚWIĄTECZNE

- W Elku, niejaki pan Zając,
Poruszać się zwykł, kicając.
Do czasu. Bo pewien łowczy
Okazał się bardzo stanowczy
I ustrzelil go, nawet nie żegnając.
- Raz, w miejscowości Olszynka
Do sklepu trafiła szynka.
Niestety, szynki w Olszynie
Każdy dostał po krzyncie,
Bo przecież sklepowa ma synka...
- W restauracji, pewnej Eunice
podano raz jajecznicę.
(Rzecz działa się w Ohio
Gdzie najlepiej smakuje jajo)
Zjadła krzywiąc się, poprosiła o pizzę.
- W Supraślu, niejaki pan Janek
Był twórcą ludowych pisanek.
Gdy jednak naszego Janka
Spotkała raz panna Hanka
Nad wszystko zajął go jej wianek.

JACEK PATALAS



„Kura te ipsum” czyli Jacka Patalasa święteczna rozmowa z kurą

Był synał. Tym razem z kurnika. „Przyjedźcie natychmiast!” Zna-
jąc bólaczki przemysłu drobiarsko-jajczarskiego nie czekaliśmy dłu-
go: następnego dnia byliśmy na miejscu. Kurnik duży, nowoczes-
ny, wewnątrz ciepło, przytulnie...

— Dzień dobry, to ja wysłałam ten telegram.

— Pani?! To znaczy Wy? Chciałem powiedzieć, Ty, kuro?!

Kura: — Tak. Przed świętami w prasie, radiu i telewizji piszecie
i mówicie tylko o jajkach — pisankach, o zajączkach, kurczątkach,
a o nas kurach, głównych autorkach, że tak powiem, jaj — ani słó-
wa. A przecież, gdyby nie my, nie byłoby tego całego folkloru —
pisanek, kraszanek i oczywiście kurczątek.

Red.: — Proszę nie zapominać o kogutach, one także mają swój
udział...

Kura: — Czasy się zmieniły, redaktorze. Mniej więcej od roku
nie ma już w kurnikach kierowniczej roli kogutów, a niebawem wy-
bierzemy własny samorząd kurniczy. Wybory przebiegać będą pod
hasłem „Bez jaj!”

Red.: — No a koguty?

Kura: — Aż wstyd mówić, redaktorze. Weszły w komitwę z li-
sami, zwłaszcza tymi farbowanymi, więc ani ja, ani moje koleżan-
ki nie chcemy, bynajmniej, żadnego znać.

Red.: — Skąd ta wasza aktywność właśnie teraz?

Kura: — Jesteście młodzi, redaktorze, nie musicie więc o tym
wiedzieć, ale dawno dawno temu gęsi obroniły Rzym, potem kac-
ki porozumiały się z dziennikarzami, no a my kury? Z całego dro-
biu tylko o nas pisze się źle, że tak powiem. Jeśli nie „jak kura
pazurem”, to „kura domowa” i tak dalej... Żadnego ciepłego słowa,
otuchy ... (płacze) nigdy nas nie doceniano...

Red.: Tak, to prawda... (zamyślił się)

Kura: Teraz jest okazja, by wreszcie przemówić, a raczej zagda-
kać pełnym głosem, jesteśmy przecież we własnym kurniku!

Red.: Powiedźcie mi jeszcze, kura, skąd u Was tak doskonała
znajomość ludzkiej mowy?

Kura: Ano, ma się te lata, więc i nocy wigilijnych sporo już prze-
żyłam i coś tam zawsze w tym łbie zostało. Ponadto, wraz z ko-
leżankami założyliśmy przed laty kółko językowe, taki nasz „la-
tający uniwersytet” i podczas zajęć, w tajemnicy przed kogutami
podnosiłyśmy swoje kwalifikacje. To były czasy, redaktorze, iza
się w oku kręci...

Red.: Kura te ipsum.

Kura: Ze co proszę?!

Red.: Nic, nie, dziękuję za rozmowę.

Rysunek — zagadka Zbigniewa Jaworskiego



Na rynku miasta należącego dawniej do Łużyc, a obecnie do naszego
województwa stoi zespół dwóch ciekawych obiektów. Na bliższym planie
widzimy sejmice renesansowego ratusza wystawionego przez Włocha Antonio
Alberiego w latach 1580–82, a dalej bryłę gotyckiego ceglanego kościoła
p.w. Wniebowzięcia NMP z późnoromańską jeszcze wieżą, zbudowaną z ko-
stki bazaltowej. Jakże to miasto?

Rozwiązanie Rysunku-Zagadki z nr 11/90. Prawidłowa odpowiedź: KŁEPSK.
Nagrodę wylosowała Zdzisława Król z Zielonej Góry. Nagrodę można
odebrać w redakcji.



Rys. Antoni Stachowicz

POLICJA i POLICJANCY

Kiedy w 1918 r. Polska odradzała się z nie-
woli, wielu ludzi nie bardzo było skłonnych w
ogóle dopuszczać myśli o powołaniu polskiej po-
licji. Wydawało się im, że policjant będący bar-
dziej symbolem ucisku niż prawa i porządku
może być tylko... pruski, rosyjski czy austriacki.
Ale już od samego początku I wojny światowej
na obszarach wszystkich zaborów powstawały
zakonspirowane, a nawet działające półoficjal-
nie polskie formacje policyjne. Przejmowały one
posterunki niezwłocznie po opuszczeniu ich przez
zaborców.

Kolejni okupanci do pewnego czasu przeważ-
nie tolerowali polskie formacje policyjne. By-
wało, że z nimi współpracowali. Zwykle jednak
po umocnieniu swojej pozycji wprowadzali wła-
sna policję, która różnymi metodami dążyła do
likwidacji konkurencji.

W momencie odzyskania niepodległości na o-
bszarze przyszłego państwa polskiego istniało
wiele organizacji typu policyjnego. Nierzadko
nastawione one były do siebie niechętnie, a na-
wet wrogo. Podstawowa linia podziału przebie-
gała pomiędzy policjami o orientacji prawicowej,
a tymi które zorientowane były prosocjalistycz-
nie. Dekret z 5 grudnia 1918 r. o Milicji Ludo-
wej organizację tę upaństwowił i scalił w jed-
ną formację. Realizacja tego dekretu doprowa-
dziła jednak w istocie do likwidacji większości
milicji w ciągu kilku następnych miesięcy. Ich
czynności przejmowały stopniowo struktury po-
licji państwowej.

Przez dziesięć lat skutecznie zamykał swo-
je drzwi przed dziennikarzami. Wreszcie prze-
mówił. Książka Janusza Rolickiego „Przerwa
na dekadę”, która ukazała się nakładem wy-
dawnictwa „Fakt”, będzie z pewnością sensa-
cją na rynku wydawniczym. Dziś prezentuje
my fragmenty „wywiadu-rzeki”, udzielonego
przez EDWARDA GIERKA J. Rolickiemu.

— Jak wyglądała pańska rola w tym kry-
zysie?

— Była ona żadna. Nie pchałem w żaden
sposób Wiesława do podwyżek, ostrzegałem,
gdy był na to czas.

— Ale na ostatnim posiedzeniu Biura, do-
tyczającym podwyżek, nie było pana w Warsza-
wie.

— Mój udział niczego by nie zmienił. Wie-
sław był w takim nastroju, że nie przyjąłby
żadnej krytyki. Trafna i spokojna wypowiedź
Jędrzychowskiego, który zadał zasadne acz nie
winne pytanie: „Czy do końca przemysłowe
zostały skutki społeczne podejmowanych de-
cyzji ekonomicznych?”, wywołała furję Wiesła-
wa i półgodzinną tyradę o tym, że nie należy
go uczyć marksizmu. Tyradę tą zakończone zo-
stało posiedzenie Biura Politycznego.

— Decyzja weszła w życie w dniu plenum
partii. Nie mogło więc chodzić po czasie o ak-
ceptację podwyżek. Czy plenum mogło jeszcze
odwrócić tragiczny bieg wydarzeń?

— Na plenum, o wydarzeniach w Gdańsku
nikt nie mówił, bo nie było o nich żadnych ofi-
cjalnych wiadomości. Ja, siedząc w prezydium
obrad, o wystąpieniach stoczniowców dowie-
działem się, tak jak i moi sąsiedzi, znacznie
później niż członkowie Komitetu Centralnego.
Siedzący przy podłużnych stołach na sali. W
czasie śniadania dla członków kierownictwa,
które zwyczajowo odbywało się w czasie pier-
wszej przerwy w obradach, Gomułka zaatakował
mnie słowami: „Towarzysz Gierek nie
chciał sam zabrać głosu w obradach, więc wy-
słał na mównicę Pykę, a ten nagadał takich
głupstw, że teraz będę musiał to odkręcać”.

— A owo wstrzymanie się od głosu, czy nie
było taktycznym unikiem?

— Rozumiałem potrzebę podwyżki, ale ok-
res przedświąteczny dla jej wprowadzenia, wy-
dawał mi się bardzo nieprzemyślany. Ponadto
oprawa propagandowa tej podwyżki i
wzrost cen żywności, bez koniecznego wyjaś-
nienia społeczeństwu prawdy o sytuacji gos-
podarczej kraju, spowodowało jej gwałtowne
odrzućcie. Proszę to zapamiętać, to swoiste
koko znowu po latach dokona pełnego obrotu
i historia niemal się powtórzy. (...)

— Co było potem?

— Pospiesznie udałem się na Śląsk, by trzy-

Ostatecznie status prawny i sprawy organiza-
cyjne uregulowała ustawa o Policji Państwowej
uchwalona przez Sejm 24 lipca 1919 r. Zorgani-
zowaną na wzór wojskowy policję podporządko-
wano Ministrowi Spraw Wewnętrznych. Jej struk-
turę dostosowano natomiast do podziału admini-
stracyjnego kraju. Zwyciężyła więc koncepcja
policji państwowej, jednolitej, zcentralizowanej,
z niewielkimi tylko odstępstwami na rzecz kon-
cepcji zakładającej związanie policji z lokalnymi
samorządami. Wspomniana ustawa nakładała na
policję zadanie ochrony bezpieczeństwa, spokoju
i porządku publicznego. W okresie tym siły po-
licji państwowej wynosiły 30 tys. funkcjonariuszy.

Służbę w policji mogli podjąć tylko obywatele
polski, w wieku od 23 — 45 lat, o dobrym sta-
nie zdrowia, odpowiedniego wzrostu, posiadający
znajomość języka polskiego w piśmie i mowie
oraz umiejętność liczenia. Obejmując stanowis-
ko, przyszli policjanci składali przysięgę służbo-
wą, która zobowiązywała go wobec Boga zaw-
sze mieć na względzie pożytek państwa i dobro
publiczne, dokładnie wykonywać rozkazy i pole-
cenia swych władz, dochować tajemnicy urzęd-
owej.

Młodej policji najtrudniej było podjąć skuteczną
walkę z przestępczością. Nie mając włas-
nych doświadczeń w tej skomplikowanej dzia-
łalności skorzystano po części z doświadczeń
angielskich. Zaproszeni do Polski przedstawiciele
brytyjskiej policji preferowali już wtedy pro-

mać rękę na pulsie i nie dopuścić do podob-
nych odruchów niezadowolenia.

— Czy sądził pan wtedy, że za niecały ty-
dzień zostanie pan pierwszym człowiekiem w
państwie?

— Proszę pana, jak najdalszy byłem od wy-
ciągania ręki po tę schedę. Wiadomości napły-
wające z Gdańska były coraz bardziej niepo-
kojące i sytuacja rysowała się bardzo drama-
tycznie.

— Miał pan jakiś serwis informacyjny z
Warszawy?

— Na informacje nałożono ścisłe embargo i
wiedziałem jedynie to, co koledy powiedział-
li mi na podstawie informacji radia zagranicz-
nego bądź skąpych wiadomości telefonicznych
z Wybrzeża. Gdy wyjeżdżałem z Warszawy,
nie miałem żadnych oficjalnych wiadomości o
tym co się dzieje w Trójmieście. O rozruchach
nie zostało poinformowane ani plenum Komite-
tu Centralnego ani Biuro Polityczne tegoż
KC. (...)

Po dziesięciu latach milczenia Edward Gierek oskarża...

Formalnie więc nie się nie stało. Z tym, że
w Warszawie, ukonstytuował się sztab anty-
kryzysowy, który składał się głównie z człon-
ków Biura Politycznego i dopraszanych ludzi
z zewnątrz. W poniedziałek wieczorem przy-
byli do Gdańska Kłiszko i Loga-Sowiński. Oni
też, działając w odrębnych sztabach, starali
się spacyfikować Trójmiasto. Gomułka od po-
czątku wykluczał porozumienie ze strajkują-
cymi. Otrzymałszy informacje od wysłanych
członków Biura Politycznego o sytuacji w
Gdańsku, wydarzenia te uznał za prowokację
i od początku zmierzał do spacyfikowania
strajkujących. Decyzję o użyciu broni w Gdań-
sku podjęto na posiedzeniu, które zaczęło się
w jego gabinecie we wtorek, 15 grudnia o go-
dzinie 9 rano. (...)

Gomułka zalecił wtedy, aby do tłumu nie
strzelano ogniem bezpośrednim, lecz odbitym
od ziemi. Do przekazania tej decyzji do Gdań-
ska został zobowiązany premier Cyrankie-
wicz. Premier tego samego dnia to uczynił. W
tym dniu kierownictwo partii i państwa w ró-
żnym składzie zbierało się jeszcze dwukrotnie.
Wieczorem na zebraniu zjawili się dodatkowo
Kłiszko i Loga-Sowiński. (...)

filaktykę zalecając swoim polskim kolegom, aby
„w celu utrzymania porządku publicznego w ca-
łym mieście policja patrolowała wszystkie ulice
i place czujnie i bez ustanku”.

Oczywiście główny ciężar zapobiegania i zwal-
czania przestępczości kryminalnej spoczywał na
tzw. policji śledczej. W zakresie dochodzeń pod-
legała ona organom wymiaru sprawiedliwości. W
ramach własnych kompetencji policjanci z urzęd-
ów śledczych prowadzili kartoteki — albumy
fotograficzne przestępców, zbiory kart daktylo-
skopijnych, skorowidze osób poszukiwanych.
Podstawową metodą pracy policji śledczej było
jednak zbieranie informacji poufnych i inwigila-
cja wszelkich podejrzanych środowisk. Zagro-
żenie przestępczością było wysokie, a walka z
nią niebezpieczna. W 1920 r. w starciach z han-
dytami zginęło 70 policjantów, rok później —
52, a w roku 1922 — ponownie 70-ciu.

Status i zadania policji politycznej sprecyzowa-
no dopiero w roku 1923. Jej zadaniem było „sie-
dzenie wszelkich przejawów życia politycznego
i społecznego oraz ścigania ich, o ile ze względu
na swój charakter, tendencję lub taktykę zagra-
żają całoci, ustrojowi lub bezpieczeństwu Rzecz-
pospolitej”.

Także policja polityczna weszła w skład Po-
licji Państwowej. W jej ramach miała swoje eta-
ły i własny budżet. Zajmowała się głównie wy-
wiadem politycznym, ale przejmowała także kie-
rownictwo w prowadzonych postępowaniach kar-
nych o charakterze politycznym. Głównym od-
biornikiem informacji zbieranych przez policję po-
lityczną było MSW, a po części także II Oddział
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i organy
administracji terenowej. Infiltracji podlegały
praktycznie wszystkie istniejące partie politycz-
ne i organizacje społeczne, zarówno o tenden-
cjach lewicowych, jak i prawicowych, łącznie z fa-
szyzującymi.

JAN WOJTASIK

Niestety, Gomułka, człowiek tak niedawno
wrażliwy na sprawy ludzkie, wtedy był głu-
chy na wszystkie argumenty. Myślał o jed-
nym, o złamaniu oporu klasy robotniczej. Im
dłużej trwał opór społeczny, tym bardziej on
zasklepił się w swoim uporze i nietoleran-
cji. (...)

Jest dwuakapitowa rekapitulacja stanowis-
ka Breźniewa, zrelacjonowana przez Gomułkę.
Było to w czwartek, 17 grudnia o godzinie
13.30. Oto cytuję: „Tow. Gomułka poinformo-
wał, że dzwonił do niego tow. Breźniew, py-
tając jak wygląda sytuacja i czy nie ma obaw,
że wydarzenia rozprzestrzeniają się na cały kraj.
Oświadczył, że się bardzo niepokoją, spać nie
mogli całą noc. Zwrócił uwagę na szeroki za-
kres dokonanej podwyżki cen. Pytał, jaka jest
sytuacja w wojsku i czy wystarczą nam wła-
sne środki dla przywrócenia porządku”.

Tow. Gomułka odpowiedział, że przyczyna
wydarzeń nie jest już sprawą zmiany cen, ale,
że przede wszystkim mającą tło politycz-
ne. Jak dotychczas, wystarczają nam własne
siły dla przywrócenia porządku. Jeśli zajdzie
potrzeba, zwrócimy się oczywiście o pomoc
do władz radzieckich. Mogą być przekonani,
że Polska zawsze pozostanie niewzruszonym
członkiem Układu Warszawskiego.

— Sytuacja rozwijała się więc w fatalnym
kierunku. W tych słowach Gomułki pobrzmi-
wa groźba bratniej pomocy. Czy Gomułka re-
czywiście nie cofnąłby się przed taką groźbą?

— Normalny Gomułka z pewnością by o to
nie prosił, ale jaki był jego stan w czwartek,
17 grudnia, w czwartym dniu obłędnej walki
z własnym narodem, nie wiem. Tego dnia zre-
szta Gomułka dostał wylewu i poczuł się tak
zły, że w gruncie rzeczy nie był już w stanie
kontynuować swej walki ze stoczniowcami.
Ogromną rolę w odwiezieniu go od dalszej es-
kalacji siły, odegrał Józef Tejchma, członek
Biura Politycznego, którego Gomułka cenił za
wewnętrzna uczciwość i ideowość. Tejchma po-
szedł tego dnia do Gomułki i przekonał go, że
nie może dłużej walczyć ze stoczniowcami i
chorobą. I tak zrodził się ponysły zwolania kie-
rowniczego gremium partyjnego i wyznacze-
nie mnie na kuratora Biura, jak to określił
Gomułka.

— Dziwne, że niechęć Gomułki do pana i
brak zaufania okazywany po Marcu, nie sta-
nęły temu na przeszkodzie...

— Gdy zdecydował się pójść do szpitala,
miał ograniczone pole manewru. W gruncie
rzeczy przeciw Grudzień skompromitował ca-
łe kierownictwo, najmniej mnie, jako człowie-
ka bezpośrednio zamieszkanego w tłumieniu ro-
botniczego buntu.

Przywitaliśmy toastem krwawe oko wynurające się z mgieł, które każdego ranka za tapiają miasto, a później ściekają korytem Moskwy — rzeki. Ja również, podobnie jak pewien nasz, za przeproszeniem były premier, mam w radzieckiej stolicy przyjaciół, z którymi do rana pijam wódkę. Przywitaliśmy więc toastem oko, które kiedyś po pijaku oglądał na dachu Majakowski. Ponad białą topliel eksplodowały tylko szare protuberancje stalinowskich pałaców, trzymających milczącą straż nad stolicą. „Ja odejdę teraz, ale wy czuwajcie. Stójcie tu, aż powrócę”. Spij spokojnie Dżugaszwili. Nina wyciągnęła rękę i oto ledwie wykluty, cały jeszcze mokry palający krąg ułożył się w miękkim zagłębieniu jej dłoni i drżał tam, wysyłając pęki złotych pocisków, gasnących w kieliszkach szampana. Bowiem był jeszcze szampan i nie którzy z nas mieszały go z wódką, co w pewnych kręgach nazywa się jorszem albo koktajlem Molotowa, w innych, bardziej eleganckich, champagne a la Rousse, a w najbardziej eleganckich w ogóle nie jest znane. Więc dla tych najelegantszych podaję, że najwłaściwszą proporcją jest fifty-fifty, dobrze jest też dodać lodu, ale o tej porze lodu prawie nigdy nie ma — zresztą lód z moskiewskiej wody wodociągowej, a inną, nieprawdą, nie dysponujemy, nie jest ingrediencją odpowiednią dla tak wykwinłego trunku. Trzeba także pamiętać, że Rosjanie traktują jako rodzaj ciężkiego świętokradztwa każdy zabieg, w wyniku którego alkohol traci przyrodzoną moc, więc lepiej ich tym lodem nie denerwować. Pijąc trzeba się trzymać raczej niewysoko i zawczasu upatrzyć sobie jakieś wygodne miejsce do lądowania, bo bez lądowania to się raczej nie obejdzie. Chyba, że się jest Rosjaninem. Oni w takich sytuacjach ulatują w przestworza, lewitują jak buddyjscy mnichowie, już mamy pod sufitem kilku Gagarinów, jakieś orbitujące Tierieszkowe, komsomolskie Barbarelle ściągają ce majtki w stanie nieważkości. Dobrze jest być Rosjaninem w takiej chwili. Ale dobrze też jest być wtedy Polakiem i patrzeć na to z dołu i być zadowolonym, że jeśli nawet się nie polata, to przynajmniej nie spadnie się na tyłek. A to się zdarza. I Rosjanie mówią wtedy o takim, że „okazał się w gawnie”. Do tknęło to, na przykład, Tuchaczewskiego z jego armią pod Warszawą, w przeciwieństwie do takiego, również pod Warszawą, Suworowa.

Mój serdeczny przyjaciel, socjolog habilitowany Ryszard Maria S. twierdzi, że na obecny, widoczny gołym okiem wzrost przestępczości, mają wpływ dwa czynniki: zbyt długi rząd komunistów oraz ciemajdowatość milicji. Inaczej mówiąc, w ludziach nagromadziło się tyle żalu i agresji, że musi to znaleźć jakieś ujście, a ponieważ milicjanci wciąż tylko rozprawiają, jakby się tu zreformować, ujście jest dostatecznie szerokie i dostępne w każdym miejscu, czasie i okolicznościach. W nowo otwartym sklepie z pistoletami gazowymi spotkałem m.in. stłamszoną damę, którą jakiś frustraci napadli, kiedy wychodziła z opery, gdzie jest podobno solistka. A pan, który wybrzydzał przy lądzie na skromny kaliber oferowanej broni, bo chodziło o ochronę nie tylko jego osoby, ale również willi, samochodów, szklarni itd., postanowił poczekać do momentu, kiedy wojska rosyjskie będą nas opuszczały i zakupić choćby jedną rakietę SS-20. Bali się jej Amerykanie, co dopiero biedni, zawiązani w swoich aspiracjach chłopcy z Bródna, Targówka i okolicy.

Sprawa jest rzeczywiście poważna, mam jednak tę satysfakcję, że nie raz i nie dwa ostrzegałem wpływowe osobistości w kowiarzu „Czytelnika”, jak wielką lekkomyślnością będzie zlikwidowanie PZPR z kadrami, budynkami i jej nową funkcją społeczną. Przecież wszystkie demonstracje żalu i niezadowolenia mogłyby się odbywać przed budynkiem KC PZPR, albo w jego przestronnym wnętrzu. Całe pielgrzymki zawiędzonej ludności pomieściłyby się tam bez trudu, najbardziej nieśmieli mogliby do syta naćmy ślać np. Rakowskiemu i Urbanowi, a dyżurny fotograf uwieczniłby to jeszcze na zdjęciu. I najważniejsze: nie byłoby agresji, po dejrzeniu, gorszących klótni; wiadomo, w tym budynku tkwi największe zło, zlokalizowa-

Nie chcę przez to powiedzieć że my, Polacy, jesteśmy pozbawieni polotu w porównaniu z naszymi słowiańskimi, choć nieco starżonymi braćmi ze wschodu. Takie stwierdzenie byłoby bowiem niezgodne z prawdą historyczną i w ogóle z rzeczywistością. Weźmy Żółkiewskiego na Kremlu, Rydza w Kijowie, albo choćby takiego Antka Cieślaka, który wczoraj w nocy załatwił jedną ze swych potrzeb pod pomnikiem Żelaznego Feliksa na samym środku Lubianki.

O tej wczesnej porze stolica imperium jest ścięta w olbrzymi utwór glacialny, bezdźwięczny i pozbawiony życia. Ale oto, jak w uwerturze Musorgskiego, kiedy z mgły nad Moskwą — rzeką zaczynają wylaniać się ja-

Korespondencja z Moskwy

MIROSLAW KULEBA

kies bzykania komarów, z tej mętnej lodowej zawiesziny dobiegają was pierwsze odgłosy budzącego się miasta. Moloch otrząsa się i porusza członkami. Pod sklepy pełną wyładowane deficytowym dobrem ciężarówką i chłodnie. Konwojenci rzucają skrzynki z mlekiem i wyzywają od blady każda rozbitą butelkę. W mieszkaniach proletariatu śpi ostatnim, czujnym snem, w który wsącza się oczekiwanie terkotu budzika. Metro pracuje już pełną parą, chociaż w podziemnych palacach jeszcze pusto i cicho. Ale już powoli na rasta napięcie, brownowski taniec elektrodów o szarych twarzach zaczyna przyspieszać, uwaga, uwaga, poranny czas pik nadchodzi.

Zanim to jednak nastąpi, jest ta pusta, pozbawiona mieszkańców i życia Moskwa. Nierealna bez tłumów spieszących się, spoconych i złych na wszystko ludzi. W porannej mgle

ne i pod kontrolą, a takie to oczywiste, że nikt nie błędziły w swoich dylematach po politycznych i moralnych, ani nie upadał przy tym w maliny.

No, ale przedziwny do incydentu, który okazał się dla mnie prawdziwym wstrząsem. We czwartek wybrałem się do Łazienek na spacer, bo dość już miałem wysiadywania w dusznych pomieszczeniach i towarzysztwach. Powiodam wam, czysta liryka: ptaszka śpiewają, pszczołki się urwijają, kwiecie prześci ga się w pięknie i zapachach, a dziewczyny w powabach, którym trudno się oprzeć. I

Poufne z Sejmu

właśnie kiedy jedną z bogiń chciałem zagadnąć, czy jej zegarek również wskazuje godzinę dwunastą trzydzieści dwie, zza krzaków, gdzie stała laweczka, wytoczyło się donośne wołanie. Przystanęłam. Na lawce siedział rektor M., ten, co to niemal każdy artykuł zaczyna od zdania: „Ratujmy polską demokrację przed nowym monopolem władzy”. I profesor L., który ilekroć jest w telewizji, plan Balcerowicza nazywa „koszmarnym porozumieniem i katastrofą narodową”, a za pytany kiedyś o plan własny, uśmiechnął się i powiedział, że o tym tak w pięć minut to nie można, bo musi być wstęp, rozwinięcie i zakończenie, co telewizja pewnie potnie i pomiesza.

Nie miałem wyjścia, przywitałszy się dość chłodno, usiadłem na wskazanym miejscu, czyli między panami i czekałem, co będzie dalej. Po kilku chrząknięciach i głębszych oddechach, ton rozmowy nadal profesor:

można niekiedy ujrzeć zjawiska, jakich nie zobaczycie nigdy w blasku dnia czy też nocą, rozświetloną przez neony, reflektory samochodów i czerwone gwiazdy na kremłowskich wieżach. Spróbujcie kiedyś dotrzeć w Moskwie do szarego świtu, a później dostać się jakoś — może metrem albo taksówką — na prospekt Marksa koło Nacionalu, a później pomaszercujcie podziemnym przejściem w stronę Placu Czerwonego. Tylko nie pijcie szampana po rosyjsku, bo zanim dojdziecie do Muzeum Historycznego, już was zwiną. Powiedzmy jednak, że wasz stan nie budzi większych zastrzeżeń, to znaczy nie śpiewacie ani czastuszek, ani górala, nie kiwacie się zbyt, nie rozmawiacie sami ze sobą, a także nie zapomnieliście na przykład włożyć spodni. Jeśli wcześniej w jakiejś erotycznej sytuacji musieliście je zdjąć. I że w ogóle udało się wam znaleźć Kreml, bo często, jak o tym świadczy przypadek niejakiego Wienieckiego Jerofiejewa, może się to nie udać. Wy chodźcie tedy na Plac Czerwony stromizną przy Muzeum i cóż widzieć? Nie widzieć nic. Przed wami olbrzymia, szaro brukowana pokrywa globusa niknie w nieprzeniknionej, szarej zawieszynie. Stojąc skromnie gdzieś pośród tej granitowej pustyni możecie z czasem zobaczyć, jak słońce rozprasza wilgotne emanacje Kitaj-grodu, o ile oczywiście będzie słońce, ponieważ po Czarnobylu pogoda bardzo się popsuła. Nie widzieć nic, a jednak bardzo wiele, bo właśnie ową słynną ziemi krągłość, opisaną przez Mandelsztama, co niby trwać będzie, póki na ziemi nie zniknie ostatni niewolnik.

Owszem, poznałem trochę Moskwę białokamienną, zwłaszcza Złoty Pierścień piwnych barów, od zalanego piwem po kostki automatu na Tagance po marmurowe komnaty nowoarsbackiego „Żiguli”. Poznałem surrealistyczną urbanistykę radzieckiej stolicy, azjatycką rozrzutność jej zabudowy, nocną pustkę bez kresnych prospektów biegnących gdzieś za horyzont. Spłowiwały luksus dawnych carskich hoteli i restauracji. Kreml, dziedziczna warownia rosyjskich satrapów. Smaganą wiatrami pustą Placu Czerwonego, biegnącą bez tchu aż od stóp ceglanych murów, pod którym kaci od świtu ścinały głowy. Kolorową cerkiewką, świętą Ruś-matuszkę, zgarbioną i pokorną pod wysoką ścianą, czekającą na karabinową salwę. To miasto z rosyjskiego snu, tak realne, jak kamień, żelazo i krew.

— Czy pan wie, drogi panie Adamie, że docieramy do kresu tych szaleńczych eksperymentów i tej niesłychanej zdrady, jakiej dopuścił się Wałęsa, odchodząc od ideałów Sierpnia i „Solidarności”!

— A co się stało, nic nie wiem. Poza tym, tak tu pięknie, że nie warto...

— To pewnie też nie wiecie — natychmiast zdziwił się M. — co powiedział Michnik, jak był w Paryżu? On powiedział — M. wstał i wykrzyknął — że jest mieszkańcem ziemi polskiej! Rozumiesz, tylko mieszkańcem!

— Widzę, że panowie wybrali temat, który zupełnie mnie nie interesuje, więc pójdę sobie dalej...

— Chwileczkę, panie — profesor ujął mnie mocno za rękę. — To jasne, OKP nie ma już szans, żeby Geremek na głowie stawał! Inicjatywa posła Lopuszańskiego i Jurka, to znaczy Marka Jurka, kładzie kres mistyfikacji na demokrację! Będą podziały...

Nie mogłem nic zrobić, bo dziennikarz ułapał za drugą rękę i dopiero wtedy zaczęli mnie faszerować „najprawdziwszymi informacjami”: o masonach, Żydach i Niemcach, o dolarach Wałęsy i „rezydencji” Niezabłotowskiej w Konstancinie, o zastługach dla polskiej demokracji pp. Jurczyka, Słowika, Moczułskiego, Szeremietiewa...

I ani pół milicjanta w pobliżu, ani litościwej panienki, która złotym pantofelkiem dzieliłaby po lapskach napastników; ludzie przechadzali się obojętnie, pszczoły nie przeływały pracy, ptaszka wyspiewywały... No, ale w końcu jakoś im się wyrwałem.

I chciałbym wystosować apel do wszystkich ludzi dobrej woli oraz czystego serca: uważajcie państwo na siebie, zboczeńcy polityczni czyhają również tam, gdzie najmniej ich się można spodziewać.

ADAM BIELSKI

Trzecia strona medalu

Kartka papieru z Ważnymi Pieczętkami. W języku biuralistów-pismo. Dla lekkoatlety, niespełna 19-letniego człowieka, oznacza wyrok. Wyrok na sportową karierę.

„W związku z wykryciem u kolegi niedozwolonego środka dopingującego — testosteronu, co wykazało badanie próbek pobranych podczas halowych mistrzostw Polski juniorów w Spale, 27 stycznia 1990 roku, prezydium Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, realizując przepis art. 60, punkt 2 A Międzynarodowej Federacji Lekkiej Atletyki (IAAF), ukarało kolegę dwuletnią dyskwalifikacją. Kara biegnie od dnia 27 stycznia 1990 roku. Jednocześnie unieważnia się wynik uzyskany przez kolegę podczas halowych mistrzostw Polski juniorów w Spale”. Podpisał sekretarz generalny PZLA, Lucjan Łukaszewski.

SZEF LABORATORIUM ANTYDOPINGOWEGO

— 27 stycznia, podczas halowych MP juniorów w lekkiej atletyce, pobraliśmy od zawodnika Lubtouru Zielona Góra dwie próbki. Miały one numery 101 A i 101 B. Zawodnik osobiście je zakapslował i zaplombował. Po zbadaniu pierwszej próbki, okazało się, iż zawiera ona 12,2 jednostek testosteronu. Dla porównania: poziom tego hormonu w organizmie przeciętnego Europejczyka wynosi niewiele ponad 1, u Azjaty — około 1,5. Zawartość do 6 jednostek uznawana jest za bezpieczną dla zdrowia. Przypuszczalnie tak duża dawka testosteronu przedostała się do organizmu zawodnika na 2—3 tygodnie przed badaniem; prawdopodobnie był to zastrzyk.

ZAWODNIK

Odmawia spotkania z dziennikarzem. We wszystkich rozmowach przeprowadzonych w klubie i związku, nie kwestionuje obecności testosteronu w organizmie. Zaprzecza natomiast, iż świadomie zażywał niedozwolonego środka.

TRENER

— Pracujemy razem od czterech lat. Osiągnął on już poziom, który gwarantował mu miejsce w reprezentacji Polski juniorów. W Spale i tak nie mieliśmy szans na złoty medal, bowiem Sebastian Chmara był niemal stuprocentowym faworytem. Równie pewne było drugie miejsce mojego podopiecznego. Pomijając więc wszelkie argumenty natury moralnej, stosując jedynie chłodną kalkulację, można zapytać o sens uciekania się do niedozwolonych metod. Dla mnie doping był dotychczas raczej abstrakcyjnym zjawiskiem. Kojarzył się z seulską wpadką Beną Johnsona i kompromitacją w Calgary Jarosława Morawieckiego. To było coś bardzo odległe-

go... I nagle okazało się, że mój zawodnik... To był grom z jasnego nieba. Nie spałem przez kilka nocy. Po dwunastu latach pracy, gdy wydawało mi się, że potrafię sobie radzić z problemami przed jakimi staje trener, byłem bezradny jak dziecko. Miałem nadzieję, że to pomyłka. Po wizycie w warszawskim laboratorium, gdy zobaczyłem, na jak wysokim poziomie profesjonalnym odbywają się badania, nie miałem złudzeń.

LEKARZ

— W ubiegłym roku leczyłem tego chłopaka, po kontuzji, której doznał chyba na sparтакиadzie w Kielcach. Oczywiście można sprządnąć w jego karcie, jakie środki wówczas zastosowałem. Były to leki przeciwzapalne, w żadnym wypadku sterydowe. Niewiele o tym konkretnym przypadku mogę powiedzieć, na wet nie wiem, czy poznałbym tego chłopaka na ulicy. Przez Wojewódzką Przychodnię Sportowo-Lekarską przewija się wielu zawodników. Dopuszczalne normy obecności hormonów w organizmie są tak zawyżone, że raczej wykluczają możliwość przypadkowego ich zażycia. W tym przypadku, gdy liczba jednostek wyniosła ponad 12, trudno mówić o jakimś fatalnym zbiegu okoliczności. Obserwuję od lat to, co się dzieje w tzw. sportowym wyczynie i coraz bardziej się do niego zniechęcam. Trwa idiotyczny wyścig, jakaś groteskowa zabawa w policjantów i złodziei. Z jednej strony całe laboratoria pracują nad tym jak stosować doping, by nie został wykryty, z drugiej zaś sztaby naukowców starają się wykrywać „koksarzy”. Co to ma wspólnego ze szlachetnymi ideami barona de Coubertina? Czasami myślę, że trzeba zamknąć ten cały wyczynowy kramik, a zostawić sport szkolny i masowy. Jeśli już jednak ktoś ten wyczyn uprawia, to oczywiście może

rekompensować sobie ubytki witamin i mikroelementów. W tym nie widzę nic złego. Osobna kwestia to sposób odżywiania. Nasze społeczeństwo generalnie źle się odżywia. Sportowcy — również choć na zgrupowaniach sportowych, jak mogłem wielokrotnie zaobserwować, zupełnie nieźle.

DZIAŁACZ

— To przykre, gdy o klubie staje się głośno nie z powodu sukcesu sportowego, lecz afery dopingowej... Nie możemy negować faktów, które są raczej jednoznaczne. Oba badania wykazały niemal „końskie” dawki testosteronu. Przy drugiej analizie byli obecni przedstawiciele klubu. W tej sytuacji nie żał 300 tysięcy złotych powodował, że nie prosiliśmy o trzecie, dodatkowe badanie. Szkoda chłopaka, który miał dobrą opinię w klubie. Nie nakładaliśmy na niego żadnych dodatkowych kar, uważając, iż ta wymierzona przez PZLA, jest wystarczająca. Po mistrzostwach w Spale, gdy wyniki badania nie były jeszcze znane, zrezygnował on z wyjazdu do Danii... To było dość zaskakujące, przecież nasi sportowcy, niezbyt często mają takie okazje. Być może jednak powodem rezygnacji była konieczność częściowej odpłatności za wyjazd. Najlepszym zawodnikom, tym najczęściej trenującym, staramy się zapewniać witaminy i odżywkę. Na przykład ostatnio, współpracujący z zielonogórskim Laboratorium Rehabilitacyjnym „Akton”, pan Theodorus J. P. Jansen z Belgii, przywiózł nam powszechnie dostępny na zachodzie środek o nazwie „Isostar”. Moż na tam to kupić niemal w każdym sklepie spożywczym. Puszka półkilogramowa kosztuje około siedmiu dolarów. Połowę ceny płaci klub, połowę zawodnik. „Isostar” zawiera witaminy, sole mineralne, mikroelementy. Nie można tego stosować później niż 15 minut po treningu lub zawodach. Chodzi o uzupełnienie wymienionych składników w organizmie. I na tym się kończy farmakologiczne wspomaganie naszych sportowców.

WYCHOWAWCZYNI

— Znam go od roku. Przyszedł do nas ze szkoły o profilu sportowym. Mam o nim jak najlepsze zdanie. Jest lubiany przez kolegów, nigdy nie nadużywał tego, że jest sportowcem. Starał się, by wyjazdy, nie powodowały długich nieobecności w szkole. Nie jest różniącym się uczniem, ale też nie słabym. Ta cała sprawa, to jego wielki, osobisty dramat. Dlatego błagam pana, by nie podawać już w prasie jego nazwiska. Niech chłopak w spokoju przygotowuje się do matury. Gdy to się stało, zaczęłam bliżej interesować się problemem doping. Sporo czytam na ten temat i doszłam do wniosku, że młodzi ludzie zostają dziś ofiarami zjawiska, stworzonego przez dorosłych, dążących za wszelką cenę do sportowego sukcesu. Skąd ten chłopak, pochodzący z małej wsi, wiedziałby o istnieniu sterydów? Zaczął uprawiać sport, bo chciał przeżyć piękną, życiową przygodę... Od ponad roku jestem jego wychowawczynią, a przez ten czas ani trener ani żaden z działaczy nie kontaktował się ze mną. Odnoszę więc wrażenie, że dla tych ludzi był on tylko lekkoatletą... Teraz też został sam ze swoimi problemami. A tu już nie chodzi o sport, lecz o zdrowie młodego człowieka. Nie wiemy jakie będą wyniki badań, którym się on teraz poddaje. Jeśli sport ma prowadzić do takich dramatów, to ja jestem jego pierwszym wrogiem...

MIECZYSLAW WIECKOWICZ

Ósemka „GN”

Tym razem naszą ósemkę wytypowaliśmy z wyróżniających się żużlowców drugiej i (pokoju) trzeciej kolejki spotkań ligi. Oto ósemka „Gazety Nowej”: Ryszard Franczyński, Piotr Świąt (Stal Gorzów), Antoni Skupień (ROW Rybnik), Tomasz Gollob, Ryszard Dołomistewicz (Polonia Bydgoszcz), Wojciech Zabiałowicz (Apator Toruń), Andrzej Huczyński, Zbigniew Błażejczak (Falubaz).



Fot.: KRU-KRE

BIEGAĆ PRZECZ PŁOTKI

Po prawie ośmiu latach zasiadania w „Boczej trybunie”, zacząłem „Biegać przez płotki”. Przez kilka tygodni próbowałem nawet godzić te dwa zajęcia. W swoich cotygodniowych wypracowaniach wielokrotnie wymądrzałem się na temat transferów, więc w końcu sam spróbowałem tego chleba. Ta zmiana barw klubowych odbyła się bez atmosfery skandalu. Z kolegami z drużyny rozstalem się w przyjaźni... Gdybym miał najkrócej odpowiedzieć, dlaczego zdecydowałem się na transfer, określiłbym to następująco: nie odpowiadała mi taktyka gry poprzedniej drużyny. I to wszystko.

Przepraszam za ten wtór osobisty. W środowisku sportowym rozgorzała natomiast osłaniająca dyskusja na temat zniesienia oceny z wychowania fizycznego. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z kolejnym tzw. tematem zastępczym. Bo czy z oceną, czy bez, dwie godziny sportowania w tygodniu, to stanowczo za mało. Bez codziennego kontaktu ze sportem, nie wyprostujemy milionów krzywych kręgosłupów. Te dwie godziny, to

Góra nie przyszła do Mahometa

już w założeniu pójście na łatwiznę i minimalizm. Ideę zniesienia oceny z wychowania fizycznego propaguje red. Edward Mikolajczyk, szef redakcji sportowej telewizji. Inne są zdania: Mikolajczykowi chodzi o lekce bez stresu. Czy przypadkiem jednak nie doprowadzi to do zupełnej degradacji w? Przecież to, co proponuje Mikolajczyk, można osiągnąć różniąc wymagania w stosunku do młodzieży.

Niby wszyscy jesteśmy za sportem młodzieżowym, ale wyobraźmy sobie taką sytuację. Miliony Polaków oczekują przed telewizorami finałowego meczu piłkarskich mistrzostw świata. A tu redaktor Mikolajczyk, z uśmiechem zapowiada nam, iż futbol jest zepsuty do szpiku kości, więc zdrowiej będzie oglądać transmisję z Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Kielcach... Już widzę te spadające z okien telewizory, porabane wcześniej na drobne części i płonące gmach przy ul. Woronicza.

Tak sobie myślałem, oglądając piękną imprezę z okazji inauguracji „Dni Olimpijskiego” w Zielonej Górze. Trybuna sali Novity świeciła pustkami, a tymczasem na parkiecie działy się naprawdę ciekawe rzeczy. Z pewnością spora w tym zasługa prowadzącego tę zabawę, red. Ryszarda Malitowskiego z Polskiego Radia w Zielonej Górze. Dowcipny komentarz, inteligentne rozmówki z czołowymi sportowcami — to wszystko zgrabnie uzupełniało pokazy w wykonaniu mistrzów. Andrzej Huszcza zdążył przyjechać z motocyklem po meczu żużlowców z Polonią Bydgoszcz. Julia Macur zaprezentowała takie umiejętności, że gdyby widzieli je właściciele wesołych miasteczek, to z pewnością pozamykaliby strzelnice. Zbigniew Spruch zademonstrował „stójkę” na rowerze droższym niż półtorę fiata 126p. Wreszcie Mariusz Kaczmarek, w rytmie muzyki country, dał pokaz koszykarskich fajerwerków.

Mimo dwóch anonsów prasowych, kibice nie przyszli na inaugurację „Dni Olimpijskiego”. A może trzeba było tę imprezę przenieść na stadion żużlowy. W oczekiwaniu na mecz, ludzie zobaczyliby olimpijczyków.

W końcu nie by się nie stało, jeśli Góra przyjechała do Mahometa.

MIECZYSLAW WIECKOWICZ

Mecz tygodnia

„KUPCIE RUSKA”

Taki okrzyk usłyszałem podczas meczu koszykarzy Zastalu Zielona Góra i Victorii Sosnowiec. Najlepszym zawodnikiem drużyny z Sosnowca był pochodzący z Doniecka „Kola” Iwachnienko. Liderowi Victorii, Henrykowi Wardachowi skutecznie odbierał ochotę do gry Paweł Wysocki, najrówniej chyba grający w tym sezonie zawodnik Zastalu. Iwachnienko jest przedstawicielem dość dużego „oddziału zaciężnego” ze Wschodu, który w tym roku opanował polskie parkiety koszykarskie. W Jeleniej Górze — Ostronosie i Wieremiejko; w Poznaniu — Korkija, w Bydgoszczy — Czeczura i Sosnowski, w Koszalinie — Pustogwar i Sloniewski. Poza tym Rosjanin w Zgorzelcu, Prudniku, Warszawie (Skra), Lublinie... Więc może ów kibic krzyczący pod adresem działacza Zastalu: „Kupcie Ruska!” miał rację. Na mecz do Drzonkowa przyjeżdża coraz mniej widzów, bo ludziom w zasadzie jest obojętne, czy Zastal będzie piąty, czy szósty w ligowej tabeli. Ewentualny transfer ze Wschodu z pewnością byłby atrakcją dla kibiców. A kosztowne to nie jest. Gorzowska Stal ściągnęła dwóch byłych reprezentacyjnych piłkarzy ręcznych z Woroneża, praktycznie za darmo. Dla naszych przyjaciół z Bugu jesteśmy wciąż dość atrakcyjnym krajem...

EDYTA I MACIEJ

Niektórzy twierdzą, że pewnie nie wróci. Inni dodawali, że jako pięcioboista już się skończył... Zycieliwych, jak zwykle nie brakuje. Zwłaszcza w tak rozplotkowanym środowisku jak drzonkowskie... Maciej Czyżowicz powrócił niedawno z dłuższego pobytu w USA i zabrał się do solidnej pracy treningowej. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Pechowiec z Seulu już dogonił krajową czołówkę. Oby tak dalej!

U progu sezonu sporty sukces zanotowała natomiast Edyta Małoszyce, koleżanka klubowa Czyżowicza. Wygrała w pięknym stylu międzynarodowe zawody w Rydze, zostawiając w pokonanym polu takie gwiazdy kobiecego pięcioboju jak mistrzyni świata Dorota Idzi, Szwedka Pernille Svare, Finka Paula Salminen czy Rosjanka Karolina Gordiejewa.

W pięcioboju światku zapanowała ostatnio moda na sportowe małżeństwa. Po Idzich,

Skrzypaszkach przyszła pora na Kowalewskich. Tzw. dobrze zorientowani twierdzą, że nie jest to ostatnie pięcioboju małżeństwo...

POGRZEBU NIE BYŁO

Przed drugą częścią zjazdu sprawozdawczo-wyborczego Wojewódzkiej Federacji Sportu w Zielonej Górze, niektórzy przewidywali rozwiązanie się tej firmy. Pogrzebu jednak nie było... Nawet nie padła z sali propozycja likwidacji. Dyskusja była podobno drętwa. Piszę „podobno”, bo „GN” nie zaproszono na obrady. Nowy prezes WFS, Marian Rzeźniewski stwierdził, iż było to niedopatrzenie, które więcej się nie powtórzy... Obecny szef federacji jest postacią doskonale znaną w sportowym świecie Zielonej Góry. Niegdyś pełnił funkcję dyrektora wydziału kultury fizycznej i sportu Urzędu Wojewódzkiego, ostatnio był wiceprezsem WFS i szefem zespołu metodyczno-szkoleniowego. Przed laty próbował sił jako dziennikarz sportowy w „Głosie Szczecińskim”.

Jeśli już o wyborach mowa, to odnotowuję, iż zawiązała się sekcja sportowa przy Zarządzie Regionu NSZZ „Solidarność”. Na jej czele stanął znany działacz lekkoatletyczny, Andrzej Szczepny.

UBOGIE SOKOLICE

Jeśli w rozgrywkach I ligi zespół oddaje punkty walkowerem, to jest to raczej niecodzienna sytuacja. Piłkarze Sokola Zielona Góra (Drzonków?) nie wyjechali na mecz do Gliwic. Powód? Brak pieniędzy. Przed rozpoczęciem sezonu, trener Zygmunt Borkowski długo wahał się, czy bawić się w te kłacki. Ostatecznie uległ namowom zawodników i podjął się prowadzenia zespołu. W pewnym momencie była szansa wypożyczenia dwóch piłkarzy z gorzowskiego Stilonu... Do wzmocnienia Sokoła jednak nie doszło. Ostatnią pozyskaną była więc bramkarka z Czechosłowacji, którą oglądaliśmy w ubiegłym roku w barwach zielonogórskiego pierwszoligowca. Nie był to zresztą, o taki sobie transfer. Krył się bowiem za nim dość ciekawy romans, niekoniecznie damsko-pięski... A mówiąc poważnie, trzeba się dziś zastanowić, czy Sokół (i Zieloną Górę) stać na pierwszoligową drużynę piłkarską. Walkowerów oddawaj raczej nie wypada... (MW)

Nie ma mocnych

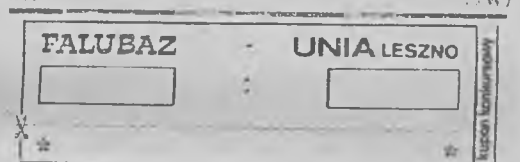
Półtorę ligowej kolejki zdołał „odjeżdżać” w ubiegły czwartek i niedzielę żużlowcy I ligi. Pogoda pokrzyżowała organizatorom meczów Motor Lublin — Falubaz Zielona Góra i Stal Rzeszów — Unia Leszno. Spora ilość gotówki musiała wrócić kibicom kasjerzy Stali Rzeszów. Cenę biletów ustalono tam bowiem na 20 tysięcy złotych (!). Nawet w Lublinie, w pierwszym spotkaniu sezonu z ROW Rybnik, nie poważono się na taki drenaż kieszeni sympatyków czarnej sportu. W ostatniej chwili zdecydowano, iż zobaczenie w akcji Hansa Nielsena kosztować będzie 15 tys. zł. Ludzie dobrze zorientowani w sprawach lubelskiego żużla, twierdzą, iż Motor zarobił na tym meczu równowartość 20 tysięcy dolarów. Jeśli więc Nielsenowi wypłacono „ryczałt” w wysokości 5 tysięcy dolarów, interes się opłacił...

A teraz kilka słów o drugiej i trzeciej kolejce spotkań. W ubiegły czwartek, w Zielonej Górze, oglądaliśmy w akcji rzeszowską Stal. Właściwie był to mecz Falubaz — Jan Krzystyniak. Były zawodnik zielonogórskiego klubu prezentował wyborną formę. Przegrał w sześciu wyścigach tylko raz, z wracającym do wysokiej formy Andrzejem Huszcza. W pozostałych biegach wręcz deklasował rywali. Ale w pojedynkę wygrać meczu nie można. Rozczarował zwłaszcza ubiegłoroczny reprezentant Polski, Jan Stachyra. W Falubazie, obok Huszczy, tym razem najwięcej braw zbierał Zbigniew Błażejczak. To bardzo sympatyczny i odważny młody człowiek. W pomieszczeniach rozmów powiedział dziennikarzowi radiowemu, iż nie boi się nawet Hansa Nielsena...

Trenerzy Czesław Czerniecki i Jan Grabowski, z którymi rozmawiałem po meczu, nie byli w pełni zadowoleni. Zwłaszcza, że nad Falubazem

wisiała groźba regulaminowej kary za opóźnienie rozpoczęcia meczu (sędzia miał zastrzeżenia do przygotowania toru). Szkoleniowcy zielonogórscy nadal poszukują drugiego młodzieżowca. Jacek Guzowski w meczu ze Stalą nie zaimponował...

A w lidze — nie ma już mocnych. Lider z Bydgoszczy przegrał w niedzielę w lokalnych derbach w Toruniu z Apatorem. Miano niepokonanej drużyny zachowała jedynie Unia Leszno, ale chyba tylko dlatego, że nie odbył się jej mecz w Rzeszowie ze Stalą. A w czwartek, 12 bm. w Zielonej Górze — kolejne emocje: mecz pomiędzy zespołami ligi polskiej i szwedzkiej. Za tydzień natomiast, oczekiwane z wielkim zainteresowaniem, spotkanie Falubaz — Unia Leszno. (MW)



Nasz stały konkurs żużlowy trwa. Tym razem typujemy wynik meczu Falubaz Zielona Góra — Unia Leszno. Wycięty z „Gazety Nowej” kupon, po wypełnieniu, przysyłamy pod adresem redakcji (Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13). Typować można do 17.04 (decyduje data stempla pocztowego).

W związku z tym, że wśród kilkudziesięciu kuponów nadesłanych w regulaminowym czasie, nie było takiego, który zawierałby trafnie wytypowany wynik spotkania Polonia Bydgoszcz — Falubaz (50:40) pula nagród automatycznie powiększyła się. A więc gramy tym razem o 200 tysięcy złotych.

KLOAKA

LUCYNA MAŁACHOWSKA-GRABOWSKA

Kiedys był strumyk. Teraz smródka.
Kiedys były glinianki z karasiami. Teraz cuchnące bajory.
Kiedys był las prawdziwy. Teraz śmietnik.
Kiedys były stawy z łabędziami. Teraz doły.
Kiedys...

Przewodnik I

Trzydzieści lat temu tu właśnie było wymarzone miejsce do mieszkania. Osiedle od strony wschodniej otaczał las. Chodziło się na spacer z dziećmi, robiło się zdjęcie.

Stanisław Kubicki, mój znajomy, kulturalny pan, pamięta doskonale każdą ścieżkę. Zrezygnował już dawno ze swoich szlaków. Gdzie stąpniesz — śmieci, gdzie się obrócisz — smród.

Stoimy na tyłach hali sportowej przy Zamenhofa. Olbrzymie wysypisko śmieci, gruzu, piachu, żelbetonowych płyt, prętów. Na prawo, w górę, w kierunku ulicy Podgórnej budujące się gmachy WSI. Czy to nie ironia, że tuż przy hałdach powstaje instytut ochrony środowiska?

Z drugiej strony jest park, dawne miasteczko ruchu drogowego, tak zwany ośrodek Birgeline. Miasto włożyło tu masę forsy, były czyny społeczne. Dzieci oglądały zwierzątka. Dziś, jak wszystko wokół, teren zatruty. Z góry, z osiedla Dzierżyńskiego, z WSI, z kotłowni, z osiedla profesorskiego płyną fekalia. Strumyk jest sino-fioletowy, mętną strugą. Cuchnie. Woda przeciska się przez słoki, puszeki, worki, zardzewiałe wiadra.

Przystajemy przy tumelowskich ogródkach. Zobacz pan, jakie spustoszenie — rzuca zza płotu działkowicz. Co za idiota wyciął stare akacje. To był raj dla pszczół. Pokażę wam starą brzozę. Ścieli dwa lata temu, zostawili, gnije. Lasy komunalne tak „sprzątają”. Chcicie wiedzieć, kto zatrąwa strumień? WSI. Wczoraj widziałem makaron. Skąd się tam wziął, jeśli nie ze stołówki? WSI pięknie się miastu odwdzięcza. Dziś telefonowałem do dyrektora Janki w sprawie chodnika. Woda wymuliła płytki. Ludzie biorą pod pachę i niosą na działki.

Działkowicze się wściekają, ale sami nie są święci. Za plotem wypielegnowane grządki, u podnóża starych dębów gałęzie porzeczek, beczki, folie, worki po nawozach, płyty paździerzowe, gruz.

Za torami droga do schroniska zwierząt. Ślady po wykopach, rozjeżdżony gąsienicami pas lasu. Śmierdzi. To jest pamiątka po budowie kanalizacji z osiedla Pomorskiego.

Przewodnik ma dosyć. Dawno tu nie był. Wracam ścieżką z drugiej strony ośrodka rekreacyjnego. Pod mostkiem znowu fetor. Dokąd to płynie? Do Wągmostawu. Z Wągmostawu też pozostało tylko wspomnienie.

Ktoś wczoraj „czyścił” ośrodek. Wypalał trawę, a przy okazji runo. Między ośrodkiem i torami garaże. Obok sterty śmieci.

Mijamy dwie dziewczyny. Niosą bukietki zawilców. Panienki, czy wiecie, że te kwiatki są pod ochroną? Nie wiemy, proszę pana.

Przewodnik II

Pan Andrzej Rybicki urodził się w Zielonej Górze. W latach szkolnych łowił ryby w gliniankach. Ukończył WSI, dziś pracuje w uczelni, jest zastępcą dyrektora administracyjnego. Uczelnia jest dużym placem budowy. Trudno utrzymać ład, ale przecież widać wyraźnie, że systematycznie, rok po roku, schodzą z porządkami od Podgórnej w dół. Robią drogi, trawniki, płoty. Piaskownice nawet. Dla dzieci z osiedla.

Kto zatrąwa strumień? W stu procentach pan Rybicki nie umie powiedzieć. W ubiegłym roku dyrektor Janka z miejskiego wydziału ochrony środowiska wytknął nam punkty wypływu ścieków. Fakt, wypuszczaliśmy, nie wiedząc o tym. Kanalizacja szła z laboratorium. Przerobiliśmy. Jeszcze są ślady na asfalcie.

Niewiele pomogło. Dyrektor Rybicki zastanawia się, czy przypadkiem Kombinat Budowlany ze swego zaplecza nie wypuszcza.

Najpierw na mapie, potem w plenerze Andrzej Rybicki pokazuje mi prawdziwe nieszczęście WSI. Przez teren szkoły przebiegają wszystkie możliwe instalacje: kable średniego i wysokiego napięcia, gruba rura wodna do Braniborskiej, Dzierżyńskiego i Podgórnej, ciepłociąg do szpitala i Pomorskiego, sieci sanitarne i deszczowe. Rury przecinają uczelnię wzdłuż, w poprzek i na ukos. Na każdym kręku mamy pod nogami jakieś przewody. Uczelnia bierze ciężki nie za swoje grzechy. Jest kopana dosłownie i w przenośni.

A gigantyczny śmietnik? Pan Rybicki nie wie, skąd się wzięły hałdy. Taki teren WSI dostała. A skąd całkiem świeże góry świnista? Ktoś nam wwozi w prezencie.

Uczelnia ma projekt zagospodarowania wypiska. Ma być basen, korty, boiska. Piękne marzenia. Nie ma pomiędzy. Gdyby miasto chciało się włączyć...

Zebrań

Zebrań zwolali lokatorzy Zamenhofa 48—56. Nie chcą się kłócić, nie chcą zadrażniać. Chcą, by ich zrozumieć, by na osiedlu dało się żyć. Zaprośili dyrektora PGKiM, dyrektora Wydziału Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska, administrację WSI, kierownika ABM 2, dzielnicowego.

Pytają. Dlaczego na wewnętrznej drodze WSI parkują ciężkie tiry? Czy chcecie nas udusić? Czy wiecie, jakie zawirowania są na osiedlu? Kto wydaje zezwolenia na kotłownie w piwnicznych ubikacjach? Dlaczego nie ma dobrych dozorców? Dlaczego ABM nie czyści ścieków deszczowych, z których woda spływa pod fundamenty? Dlaczego w pomieszczeniach gospodarczych są magazyny mebli, materiałów budowlanych, warsztaty, przechowywane benzyny?

Proszą. Nie trujcie nas. Naprawcie kominy. Naprawcie instalacje wodne i elektryczne, bo nas pozabija. Napiszcie na tablicy, u kogo są klucze do pralni, do zaworów wodnych, na dach. Nie pozwólcie parkować na trawnikach i drogach przeciwpożarowych. Sprzątnijcie śmieci, naprawcie drogi. Pomóżcie nam. Boimy się pijackiej meliny na hałdach. Postawcie rogatki przy wjeździe do lasu. Zróbcie coś z wodą żeby nie śmierdziała.

Blok Zamenhofa 54—56 jest wyjątkowo nieszczęśliwy. Przed oknami wysoka ściana hali sportowej, wciśniętej w osiedle. Obok garaże wybudowane przez mieszkańców, w większości ludzi starszych, na działce, którą dostali 20 lat temu w użytkowanie wieczyste. W ubiegłym roku ni stąd, ni zowąd okazało się, że teren z garażami należy do WSI i właśnie tu, 14 metrów od bloku uczelnia będzie buowała dom dla pracowników! Nie dość, że zabiorą nam garaże, to jeszcze zabudują nas na śmierć. Zobaczymy tylko gwiazdy.

WSI ma taki duży teren, dlaczego uwziela się, żeby budować właśnie tu? Kto postawił tę kreskę na mapie, kto to dał WSI?

Nikt nie wie. Mniejsza z mapą. Na zdrowy rozum teren WSI ciągnie się wzdłuż osiedla Wazów równą mniej więcej linią. Działka pod sporny budynek wdziera się na siłę w osiedle. Las kasek. Teren uzbrojony.

Nikt się z nimi nie liczy. Miasto kpi sobie od lat. Bo jak inaczej traktować tysiące metrów ciepłaka przecinającego osiedle w różnych kierunkach, tuż koło nosa. C.o. biegnie wszędzie tylko nie do nich. Szpital dostał, Ki-sielnińskie dostało „czerwone” osiedle dostało, ośrodek ruchu dostał, pojedyncze prywatne domy dostały. Kto miał siłę przebiccia i lepsze dojścia dostał. Im zawsze mówiono, że ciepłaka jest za mało. Centralnego nie mają. Za to mają wyziewy z kotłowni—olbrzymia, duszą się czadem własnym i sąsiadów. Ich bloki są na piece. Ludzie się starzeją, nie mają siły, przerabiają swoje piece na gaz, na koks, robią etażowe na węgiel. Ratuja się, jak mogą. Zależy, na co kogo stać.

Przewodniczący

Komitet się wykrusza, ludzie są zniechęceni, mieszkańcy atakują, decydenci się wymigują. Przewodniczący Komitetu Osiedlowego nr 2, nap Gorbat ma po dziurki w nosie swojej łankcji. Były spotkania, zebrania w czasie kampanii wyborczej do Sejmu. Miasto mówiło swoje, osiedle swoje, WSI swoje. Zdejmowano kolejnych kierowników administracji. W ciągu siedmiu lat, zmieniło się siedmiu. Więc nie jest to lekarstwo na brud, na remonty robione nie tak i nie tam, gdzie trzeba najpierw.

Przewodniczący często bywa na sesjach rady miejskiej. Obserwuje machinę uchwał, decyzji. Osiedle to nie tylko okolica Wazów i Zamenhofa. Siega aż do Podgórnej, Wrocławskiej, Chrobrego. Z drugiej strony, aż za wiadukt do ulicy Skłodowskiej. Jak opanować tak duży teren? Kłóć się ciągle z gospodarką komunalną o jakąś perspektywę dla swojego życia. Kończy się na środkach na najpilniejsze potrzeby. Ciekne dachy, dziurawe kominy.

Przewodniczący ma wrogów w urzędach. Ma inne zdanie. Na przykład w sprawie planów remontowych. Mieszkańcy nalepiej wiedzą, co im jest potrzebne i plany trzeba z nimi ustalać. ABM musi na siebie parować.

Na sesji powiedział, że jest brudno. W odpowiedzi dostał pismo od dyrektora PGKiM z zaproszeniem na spotkanie z prezydentem i kierownikiem ABM. Nie poszedł. Zamiast medytacji potrzebna jest miotła. Po co osiedlu biura, mityczne bazy. Wszystko można załatwić na miejscu. Czyszcze nie mogą kraść. Powinny być w ABM-ie. Tu ma być gospodarz.

Uwaga!

MAGAZYN ŻUŹŁOWY
„GAZETY NOWEJ”

SPEEDWAY

do nabycia w kioskach RUCH, stacjach CPN, podczas imprez sportowych na stadionie.

SPEEDWAY

terminarz imprez żużlowych informacje o transferach, ligach, składach drużyn, konkursy!

do wygrania 8 milionów złotych

MOJA ODYSEJA

HENRYK WITRYLAK

Obóz filtracyjny internowanych Polaków w Kamieńsku.

Do obozu internowanych Polaków w Kamieńsku koło Rostowa nad Donem przybyłem wraz z grupą rodaków pod wieczór 12 marca 1945 r. Obóz był typowy, otoczony pasmem drutów kolczastych, przy bramie znajdowała się wartownia, a na narożnikach obozu widniały wieżyczki strażnicze.

Na tyle obozu wznosił się jednopiętrowy, dość długi budynek mieszkalny. Mężczyzn umieszczono na parterze, kobiety zamieszkały na piętrze. W pomieszczeniach znajdowały się piętrowe prycze, na których mieściło się kilkanaście osób. Najprzyjemniejszym elementem wyposażenia pomieszczeń był żelazny piecyk, który, gdy dostaliśmy trochę opału, zapewniał przyjemne ciepło. W drugim budynku znajdowało się ambulatorium wraz ze szpitalikiem oraz świetlica, zaś w trzecim kuchnia i stołówka.

Zająłem miejsce do spania na pryczy w jednej z sal i poszedłem zagrzać na żelaznym piecyku kociołek wody, nieco się umyłem, (bez mydła), a następnie w tej samej wodzie wyprałem bardzo brudną już bieliznę. Pranie robiłem prawie po ciemku i wieszalem mokrą bieliznę na sznurku koło piecyka. Rano zobaczyłem, że przy mojej bieliźnie zebrała się grupa rodaków. Śmiały się głośno. Okazało się, że wesołość wywołały moje kałesony, które źle wyprałem po ciemku. Jedną nogawkę wyprałem dwukrotnie — była więc biała, druga zaś pozostała czarna jak święta ziemia. W obozie brakowało opału. Miejscowe „naczalstwo” rozwiązywało ten problem w bardzo prosty sposób. Mężczyźni, pod wzmocnionym konwojem, robili nocą parokrotne wypadki do pobliskiego lasu, skąd kradziono drewno i odnoszono do obozowej kuchni.

Wkrótce zostaliśmy podzieleni na brygady i codziennie konwojowani wychodziliśmy poza obóz do pracy w różnych przedsiębiorstwach. W większości przypadków były to prace budowlane i ziemne. Były one szczególnie ciężkie i niewdzięczne, podobnie jak prace przeładunkowe i betoniarskie. Strażnicy w sposób bezwzględny, a nawet brutalny zmuszali nas do intensywnej pracy. Przy braku jakiegokolwiek motywacji (praca bezpłatna) pracowaliśmy ponad siły niesprawnymi narzędziami. Po powrocie z pracy codziennie musieliśmy na terenie obozu wykonywać prace porządkowe i gospodarcze. Po pewnym czasie wszyscy byliśmy zmęczeni i psychicznie wyczerpani. Nieodpowiednie ubranie i obuwie utrudniały pracę. Na przykład ksiądz, który był w długiej sutannie, musiał wykonywać w tym stroju wszelkie prace fizyczne.

Pewnego dnia dowództwo obozu, oczekując jakiejś komisji z zagranicy (mówiono, że miał to być podobno komunistyczny pisarz amerykański Sommer Welles) kazalo usunąć w ciągu paru godzin linie drutów kolczastych i wyszki strażnicze. Cały obóz nadzorowali wówczas cywile z ukrytą bronią. Po odejściu komisji musieliśmy ustawiać wszystko z powrotem.

Po kilkumiesięcznej ciężkiej pracy fizycznej i na skutek bardzo słabego odżywiania poczułem się niezwykle osłabiony i wyczerpany. Wiedziałem, że w tych warunkach dłużej już nie wytrzymam. Mój instynkt samozachowawczy skłonił mnie do szukania jakiegos sposobu wyzwolenia się z tego koszmaru. Otrzymanie pracy w moim zawodzie było dla mnie niemożliwe. Postanowiłem więc ratować się w inny sposób. W niedzielę, która była wolna od pracy (za wyjątkiem prac porządkowych i gospodarczych) postanowiłem wykorzystać swoje amatorskie umiejętności i malowałem dostępną mi brązową farbą portrety Lenina. Następnie starałem się, aby te portrety zobaczył naczelnik obozu. Po

myśl mój okazał się skuteczny, natychmiast zostałem zatrudniony w świetlicy, w której malowałem na podstawie dostarczonych mi zdjęć portrety licznych członków Biura Politycznego ZSRR. W ten sposób moja sytuacja w obozie w ciągu kilku miesięcy znacznie się poprawiła.

Pewnego razu naczelnik obozu polecił mi wykonanie prac porządkowych w chlewie znajdującym się poza obozem. Co prawda nigdy jeszcze tego nie robiłem, jednak byłem z tego polecenia bardzo zadowolony, gdyż przy tej okazji mogłem najeść się do syta gotowanej kukurydzy przeznaczonej dla świń. Zabrałem ze sobą kilka kaczanów, które ukryłem w spodniach, lecz niestety zabrano mi je podczas rewizji przed wejściem do obozu. Po raz drugi zaspokoilem odpowiednio swój głód, gdy dzięki osobistej przychylności naczelnika obozu (któremu namalowałem obraz olejny) skierowano mnie do prac porządkowych w magazynie. Najadłem się tam czarnego chleba z lojem oraz cukru.

Niestety, niezbyt długo dane mi było cieszyć się lekką pracą na terenie tego obozu. Nie wiem nawet z jakiego powodu zostałem skierowany do karnej brygady. Tu, dwunastogodzinna praca przy robotach ziemnych była wyjątkowo ciężka a traktowanie było nie do zniesienia.

Wyrok Wojskowego Trybunału ZSRR

Z filtracyjnego obozu internowanych Polaków w Kamieńsku przewieziono mnie do tzw. „Kamery Przedwariantnego Zakłuczenia” (Izba Zatrzymań) dla więźniów bez wyroku znajdujących się w Nowocerkasku.

Cela w tzw. KPZ z jednopiętrowymi pryczami była koszmarna. Często leżąc na barlogu z buszlata i wierzchniej odzieży, w przepelnionym, dusznym i silnie zapluskwionym pomieszczeniu, tęskniłem za warunkami, jakie były w obozie. W więzieniu wyżywienie zaledwie wystarczało by nie umrzeć z głodu. Rano otrzymywaliśmy solonego śledzia, kawaleczek chleba i wrzątek, na obiad bardzo rzadką i niesmaczną zupę z kawaleczkiem chleba, kolacja była zwykle taka sama jak śniadanie. Codzienna racja chleba wynosiła 400 gramów. Jedyną przyjemnością stanowił dziesięciminutowy spacer, połączony z wynoszeniem „paraszki” — pojemnika służącego za ubikację.

Z pobytu w KPZ utkwiło mi w pamięci pewne wydarzenie. Otóż, gdy po obiedzie prawie wszyscy spalili z górnych pryczy zszedł pewien Asjata. Podeszedł do jednego ze śpiących na dolnej pryczy obudził go i wyciągnął zza cholewy nożem uderzył go kilkakrotnie w pierś, następnie koszulą zabitego wytarł dokładnie nóż, włożył go z powrotem za cholewę i ze stoickim spokojem wrócił na swoje miejsce. Całe wydarzenie miało miejsce w absolutnej ciszy i bez jakiegokolwiek reakcji ze strony świadków. Należy domniemać, że był to po prostu akt zemsty. Sąsiedzi zabitego nie poinformowali strażników o zaistniałym fakcie i prawie dwie doby pobierali za niego wyżywienie. Po wykryciu zbrodni ciało wyniesiono z celi. Szczegółowa rewizja przeprowadzona w celi nie wykryła narzędzia zbrodni. Prowadzone śledztwo nie dało żadnych rezultatów.

22 lutego 1946 roku wywołano mnie z celi KPZ i zaprowadzono pod strażą do budynku, gdzie odbyła się rozprawa Wojskowego Trybunału ZSRR Okręgu Nowocerkaskiego. Przewodniczącym był oficer w stopniu młodszego lejtnanta, zaś członkami szeregowi żołnierze Armii Czerwonej. Po przeczytaniu oskarżenia oraz wysłuchaniu mojej obrony ogłoszono kilkuminutową przerwę, po której wezwano mnie z powrotem do sali rozpraw i przeczytano wyrok.

C. D. N.



PO CO ŚWIDNICY GS?

W piątek, 23 marca, rano żona wróciła ze sklepu mocno wzburzona. Brakowało masła, margaryny, sera, oleju, a nawet chleba.

Gdy w Zielonej Górze towar poszukuje nabywcy, tu jest dokładnie odwrotnie. Ceny, nie zagrożone żadną konkurencją, są wysokie. Monopolista — Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska w Zielonej Górze z siedzibą w Zawadzie — trzyma wszystko mocno. W takim uścisku można się uduśić.

Pawilon handlowy „Marcinek”, piekarnia, bar „Pod Dębem” i magazyny wraz z placem sprzedaży materiałów budowlanych, nawozów, węgla itp. — to obiekty GS na terenie Świdnicy. Bar przed wielu laty słynący ze wspaniałej gołonki, dziś jest niechlubną wizytówką. Wokół snują się zapijacze ni faceci. a zyski ze sprzedaży alkoholu działają uspokajająco na szefów spółdzielni.

„Marcinek” podzielony na cztery oddzielne sklepy stanowi centrum handlowe gminy. Jeden z tych sklepów jest od wielu miesięcy niewykorzystany. Nie wiadomo dlaczego. Najwięcej krwi psuje sklep spożywczy. Tu zawsze czegoś brakuje, a powierzchnia nie jest w pełni wykorzystana.

Na placach GS węgla nikt nie widział od początku roku, a wysokie marże na nawozy (40 proc.) odstraszały nabywców.

Monopolista GS wykorzystuje swą pozycję, nie dbając o klienta i nie licząc się zupełnie z jego potrzebami. a gospodarz terenu — naczelnik gminy zachowuje olimpijski spokój.

Potrzebna jest od zaraz konkurencja. Tymczasem wo mogłoby to być handel obwoźny, który, jak w mieście, oferowałby rozmaity towar po umiarkowanych cenach.

W przyszłości mieszkańcy wsi chcieliby mieć normalną restaurację, kawiarnię, sprawnie działający handel, ale to już sprawa dla nowego samorządu.

Skoro GS nie lubi mieszkańców gminy Świdnica, po co więc nam taka GS?

KRZYSZTOF STEFAŃSKI

PS. Podobna sytuacja jest w innych sklepach GS w gminie np. w Piaskach, Lipnie, Grabowcu.

DEMORALIZACJA NIELETNICH

Analiza corocznych sprawozdań dotyczących dzieci i młodzieży zagrożonej i niedostosowanej społecznie wskazuje na systematyczny wzrost jej liczby. Zjawisko to nierozłącznie wiąże się z alkoholizmem i przestępczością rodziców. Od 1966 roku utrzymuje się w województwie tendencja wzrostu przestępczości nieletnich.

Dla przykładu można podać, że w 1988 r. nieletni popełnili 831 czynów karalnych, czyli o 17 proc. więcej niż w roku 1987. W roku 1989 nastąpiło pogorszenie tej statystyki.

Pod obserwacją MO jest ponad 1500 nieletnich, z tego ponad 700 zagrożonych demoralizacją i 800 sprawców przestępstw.

Każdego roku w ramach działań interwencyjnych kieruje się do: sądów rodzinnych, placówek opieki towarzyszącej służby zdrowia oraz różnego rodzaju poradni około 1200 wniosków.

Środki, jakie podejmują władze wojewódzkie, nie odnoszą skutku. Zło tkwi w niewydolnej wychowawczo rodzinie. Działania profilaktyczne władz oświatowych i milicji wskazują, że w województwie jest ponad 1200 rodzin patologicznych i ponad 100 rodzin moralnie zagrożonych. W 400 tego rodzaju domach mieszczą się punkty gromadzenia się nieletnich przestępców.

Ten zastraszający stan wymaga roztoczenia większej opieki nad tymi rodzinami. Potrzebny jest tu spójny system działania szkoły, kościoła, organizacji społecznych takich jak Towarzystwo Rozwoju Rodziny, Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i innych.

Szkola powinna wrócić do dobrych form zajęć pozalekcyjnych. Powinna większą opieką otoczyć harcerstwo. Organizować uniwersytety dla rodziców.

Wydaje mi się, że czas najwyższy zająć się organizacjami młodzieżowymi, a zwłaszcza ich wychowawczą działalnością. Dobrze by też było, by Ministerstwo Edukacji Narodowej dokonało oceny, jak szkoła wychowuje młodzież przez „pracę”.

EDWARD HŁADKIEWICZ

„SIĘDMIU WSPANIAŁYCH”

Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” w Zielonej Górze informuje, iż w wyniku naszej interwencji dokonano zmiany likwidatorów Spółdzielni Ubezpieczalni (b. WZSM) oraz Spółdzielni Zakładów Gospodarczych (b. WZSP).

Przewodniczący
WIESŁAW WYSOCKI



ul. Podgórna 43 C, 65-213 Zielona Góra
TEL. 666-00, FAX 666-22, TLX 043 22 20

OFERUJE WYKONANIE W PEŁNYM ZAKRESIE

- prac projektowych w budownictwie
- prac geodezyjnych i geologicznych
- robót budowlano-montażowych
- opinii i ekspertyz budowlanych
- wycen majątku trwałego
- komputerowego kosztorysowania robót budowlanych
- eksportowych usług transportowych

ZAMIERZASZ BUDOWAĆ, REMONTOWAĆ LUB ADAPTOWAĆ
OBIEKTY MIESZKALNE, PRZEMYSŁOWE, HANDLOWE,
GASTRONOMICZNE, HOTELARSKIE, BANKOWE ITD.
- ZAUF AJ TYLKO NAM !

"ALPO" NIEZWŁOŻNIE RÓZWIĄŻE WSZELKIE TWOJE PROBLEMY:

- przygotuje inwestycję, remont lub adaptację
- zaprojektuje
- zapewni obsługę geodezyjną
- wybuduje lub wyremontuje
- wyposaży i przekaze do użytkowania

SZYBKO ZNACZY TANIO !
BEZ KOSZTOWNYCH, A ZBEDNYCH POŚREDNIKÓW !
JAKIE TO WYGODNE !

Ogłoszenia drobne

Dom w stanie surowym w zabudowie
szeregowej przy ul. Wyczółkowskie-
go — sprzedam lub zamienię na nie-
szkane. Oferty pisemne. Zielona Gó-
ra, ul. Powstańców W-wy 23/2.
D-117

Nową, atrakcyjną sypialnię z sosny,
ogrzewacz elektryczny 80 l, nowy —
sprzedam. Zielona Góra, tel. 33-81.
D-118

Elektromechanika, Mechanika Maszyn
i Urządzeń Rolniczych 65-154 Zielona
Góra, ul. Dolina Zielona 58. Oferuje
swoje usługi w zakresie remontu
pomp wodnych, hydroforowych 5, SK,
SM, SW, Apollo, itp., obiegowych co-
— PM, PJM z konserwacją silnika
elektrycznego, nabiłowych do pom-
powania mleka GA i przetworów mle-
cznych, przewijanie silników elektry-
cznych. Gwarantujemy solidne wyko-
nanie, krótkie terminy oraz półrocz-
ną gwarancję. Zapraszamy.
D-119

SATEC — instaluje anteny satelitar-
ne — 150 000 zł. Poleca zestawy sate-
litarne, stereo, pilot, 48 programów,
produkcji japońskiej, serwis, cena 730
DM. Zgłoszenia — Zielona Góra, ul.
Chmielna 20, tel. 701-17. Gorzów Wlkp.
Firma „KAM”, ul. Walczaka 5/2, tel.
367-25.
D-120

Organy „Estrada” pilnie sprzedam,
cena do uzgodnienia. Zielona Góra,
ul. Węgierska 13/51.
D-121

Sprzedam stara maszynę do szycia
„Singer”. — Zamienię stary kredens
dębowy „antyk” na segment. Wiado-
mość: Zielona Góra, ul. Energetyków
14/2.
D-122

Sprzedam rury ocynk., śred. 3/4", 1",
1 1/4", 1 1/2", 2" i 3" oraz pompy
głęb. typ G-40, G-60 i G-80. Tel.
29-831 Zielona Góra.
D-123

Zdjęcia pamiątkowe z imprez i bro-
czyści rodzinnych, towarzyskich,
szkolnych i zakładowych. Obróbka
laboratoryjna negatywów i wykony-
wanie powiększeń. Fotografia barwna
i czarno-biała. Zlecenia na usługi,
filmy do wywołania i obróbki —
przyjmuje korespondencyjnie firma
FOTO SERVICE, 66-100 Sulechów 1,
skr. poczt. 81.
D-124

Naszej drogiej Pyzie! W dniu okrąg-
łej rocznicy powicia — składamy ży-
czenia szczęścia i miłości (szczególnie
w miłości) — Ela i Sławek.
D-125

Małżeństwo lekarskie szuka opiekun-
ki do rocznej dziewczynki na osie-
dłu Pomorskim lub ekolicy, tel. 605-28,
po 16.00.
D-126

„Uwaga! Mam uczciwą, ciekawą pro-
pozycję dla ludzi uczciwych, przed-
siębiorczych, cierpliwych, z zacięciem
ekonomicznym. Niepotrzebny kapitał.
Uzyskasz cenne informacje, gdy wy-
ślesz k. zwrotną 67-300 Szprotawa,
BOX 32”.
D-127

Owczarki niemieckie, rodowodowe —
sprzedam. Nowa Sól, tel. 25-45.
D-128

Za zaistniałe nieporozumienie w spra-
wie anonsu matrymonialnego serdecz-
nie przepraszam Artura Kwiatkow-
skiego. Jarek.
D-129

Zamienię spółdzielcze M-4 (59 m kw.)
w Białymstoku na podobne w Zielo-
nej Górze. Tel. 635-20 w. 372 (oprócz
sobót i niedziel).
D-130

FOTO-DIA-KOLOR, dziś zlecenie ju-
tro odbiór, obróbka „slajdów” orwo-
chrom UT, UK, ul. Gwardii Ludowej
51/3, 63-536 Zielona Góra.
D-131

Dom w Szprotawie — zamienię na
M-5 w Zielonej Górze lub sprzedam.
Tel. 23-831 Zielona Góra.
D-132

Sprzedam kręgi żelbet. śred.
1000 x 600 mm, śred. 1200 x 500 mm i
śred. 1000 x 1000 mm kw. z dostarcze-
niem na budowę oraz rury czarne
śred. 125, 159 i 219 mm, tel. 29-831
Zielona Góra.
D-133

Biuro Podróży „Targo-Travel”

Rozpoczyna działalność w Zielonej Górze od 13.04.

Oferujemy państwu atrakcyjne wycieczki do:

— Syrii, Japonii, Egiptu, Izraela, Tajlandii, Indii, Paki-
stanu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Australii i
Nowej Zelandii, Meksyku oraz Jordanii.

Szczegółowe informacje w naszym biurze — Boh. Westerplat-
te 11, pokój 320 — III piętro, tel. 42-31 wew. 237, godz. 10—17.
Życząc Państwu pogodnych Świąt — zapraszamy!

ZIELONOGÓRSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE

wykonują techniką typograficzną i offsetową
oraz gwarantują papier na
WYBORY SAMORZĄDOWE

PLAKATY AFISZE

OBWIESZCZENIA ULOTKI

redagowanie, opracowanie graficzne i techniczne
polecają:

ZIELONOGÓRSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE

pl. Lenina 15 telefon 5283 w.35 telex 0433164

KONKURS

Rada Nadzorcza Spółdzielni Mieszkaniowej

„KISIELIN”

w Zielonej Górze

ogłasza konkurs na stanowisko

PREZESA i WICEPREZESA Spółdzielni.

Oferty prosimy składać w kopercie z napisem „Kon-
kurs” do 15 maja 1990 r. w sekretariacie Spółdzielni,
os. Pomorskie 8.

O terminie konkursu zawiadomimy odrębnym pis-
mem.

Rada Nadzorcza zastrzega sobie prawo odrzucenia
oferty bez podania przyczyn.

kącik bizne\$mena

SPOŁKA JAWNA

Przed paru laty w kołach gospodarczych ze zdziwieniem, połączonym z lekką obawą, odnotowano w całej Polsce chwałebny powrót kodeksu handlowego. Rzesze prawników, w tej liczbie i ja (dzisiaj nieskromnie gratuluje sobie, że trochę wcześniej od innych), przy pomniły sobie, iż przepisy te nie w całości zostały uchylone. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, tych najwięcej, i spółki akcyjne. Niektórym wydawało się nawet, że samo założenie takiej spółki spowoduje natychmiastowy napływ gotówki. Dziwi mnie tylko to, że rodzimi biznesmeni po macoszemu traktują trzeci rodzaj spółki dopuszczony do działania na podstawie obowiązujących przepisów kodeksu handlowego. Mam tu na myśli spółkę jawną.

Spółka ta obecnie jest o tyle godna polecenia, że w sytuacji kiedy założyły ją osoby fizyczne nie mają w niej zastosowania, bardzo przecież rygorystyczne, przepisy ustawy o opodatkowaniu wzrostu wynagrodzeń w roku 1990.

Spółka jawna jest podobna do najprostszej ze spółek, spółki cywilnej, mając jednakże nad nią pewną przewagę. Przewaga ta przejawia się tym, że w spółce jawnej:

- mają zastosowanie przepisy o firmie, czyli o nazwie spółki, która to nazwa jest chroniona prawem i podlega ochronie jak dobro osobiste — można więc żądać aby inna firma zaniechała używania nazwy spółki (szczególnie kiedy spółka jest znana na rynku), można żądać odszkodowania za naruszenie firmy oraz zapłaty przez naruszającego odpowiedniej kwoty na rzecz PCK,
- mają zastosowanie przepisy o prokurze, z czego wynika, że wspólnicy, na podstawie tej szczególnej formy pełnomocnictwa mogą powierzyć prowadzenie przedsiębiorstwa innej osobie lub kilku osobom,
- mają zastosowanie przepisy o rejestrze, spółka ta bowiem może figurować w rejestrze handlowym prowadzonym przez sąd, przez co umacnia się niejako jej rangę i spółka taka jest bardziej wiarygodnym kontrahentem,
- nadto każdemu wspólnikowi, nawet w sytuacji kiedy spółka poniosła straty, przysługuje prawo żądania wypłaty odsetek od wniesionego udziału.

Wada spółki jawnej jest to, że podobnie jak w spółce cywilnej, każdy ze wspólników odpowiada osobistym majątkiem za zobowiązania spółki oraz, że wszyscy wspólnicy, bez względu na rodzaj i wartość wkładu, w takim samym stosunku uczestniczą w zyskach i stratach spółki. Z mojego doświadczenia wynika jednak, iż wspólnicy spółek cywilnych najczęściej przynajmniej równiejszą partycypacji w zyskach i stratach. Tak więc ta druga wada spółki jawnej nie jest aż tak duża.

Spółkę jawną organizuje się w bardzo prosty sposób. Podstawowym dokumentem jest umowa, która nie musi być sporządzona w formie aktu notarialnego. Konieczne jest tylko zachowanie formy pisemnej. Dzięki temu umowę spółki można łatwo zmieniać i dostosowywać ją do istniejących potrzeb. Na pierwszym elementem jest złożenie wniosku o wpisanie spółki jawnej do rejestru sądowego.

Jeżeli chodzi o nazwę spółki (firmę) przepisy nie pozostawiają całkowitej swobody. Wymagane jest umieszczenie w nazwie nazwisk wszystkich wspólników albo przynajmniej jednego z nich z dodatkami wskazującym spółkę, np. Rychlik i s-ka.

ANDRZEJ RYCHLIK



W AJENCJI JACKA PATALASA

Święta to czas zadumy, spotkań w rodzinnym gronie i wypoczynku. W świąteczne popołudnie można także położyć się na ulubionej kanapie z ulubioną książką w ręku. Agent „Bazaru” takową (książkę!) posiada i w wolnych chwilach często do niej wraca. Głównie dlatego, by podnosić swoje handlowe kwalifikacje. Chwila oddechu od cen, notowań i bazarowych transakcji należy się także i Wam, Drodzy czytelnicy, stąd też — choć w skrócie — poznać wybrane fragmenty tej pracy.

Tytuł — „Sposoby i metody reklamy towarów w oknie wystawowym” (wybrane zagadnienia). Autorem jest mgr Krzysztof Miszczak, a dzieło powstało trzy lata temu w Łodzi, w Zakładzie Doskonalenia Organizacji i Normowania Pracy Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Gastronomicznego i Artykułów Spożywczych Centralnego Związku Spółdzielni Spożywców „Społem” (w skrócie — ZDO:NP COB-RPG:ASC ZSS).

Przyznajemy, że gdyby nie magister Miszczak, a dzisiaj blakalibyśmy się po sklepach, sklepikach, kioskach i butikach, bezmyślnie gapiąc się w okna wystawowe tych że i nie znając wielości skomplikowanych zagadnień i problemów składających się na wygląd takiego okna, zwanego potocznie wystawą lub witryną. Nie wypada nam omawiać, czy streszczać fragmentów pracy magistra M., stąd też posługiwaliśmy się bieżącymi licznymi cytatami.

Czym jest wystawa? Jest ona otóż „ogniwem informacji pomiędzy nabywcą, a sklepem. Mówi nabywca co można kupić i po jakiej cenie (...) powinna sugerować nabywcę, że kupno oferowanego do sprzedaży towaru sprawi mu zadowolenie, da wygodę, poprawi wygląd lub wniesie coś nowego do jego życia”.

A czy wiecie Państwo ile czasu każdy z nas spędza przy oknie wystawowym? Badania wykazały, że „mniej niż 11 sekund”. Kto nie wierzy niech ze stoperem w ręku zaczai się przy którymś z zielonogórskich sklepów. Na wyniki czekamy do końca kwietnia.

Każda wystawa ma pięć elementów, „których obecność decyduje o jej sukcesie”. Są nimi — towar, przestrzeń wystawowa, sprzęt, światło, wizytówki towarów. Ważne jest na przykład, że „sprzęt nie może zdominować towaru”, a „przygotowanie odpowiednio zagospodarowanej przestrzeni traktuje się jako elementarny czynnik decydujący o powodzeniu wystawy”.

Pan magister z miasta Łodzi wyróżnia „5 faz oddziaływania wystawy na nabywcę”. Oto one:

Świąteczne sosy

Tradycyjnie, na stole Wielkanocnym jest chrzan biały, chrzan z buraczkami, musztarda i gotowy majonez. Proponuję, by wprowadzić kilka dodatkowych sosów, które uatrakcyjnią zestaw serwowanych mięsnych dań.

Sos chrzanowy — wg oryginalnego przepisu mojej Babci. Mały słoik utartego, mocnego chrzanu (lub 2 starte, spore łaski chrzanu świeżego) przełożyć na gęste sito i przelać wrzątkiem. Do rondelka włożyć czubatą łyżeczkę śmietankowego masła, rozpuścić, włożyć sparzony chrzan (przestudzony) i 1–2 min. zasmażyć. Dodać śmietany, najlepiej słodkiej kremówki w takiej ilości, by powstał gęsty sos, wcisnąć sok z cytryny, dodać soli i cukru do smaku, wszystko włożyć do sosjerki i ustawić na dolnej płycie w lodówce. Podawać następnego dnia. Sos ten jest znakomitą dodatkami do wszystkich mięs, a także ryb w galarecie.

1. Przyciągnięcie uwagi przechodzącej osoby.
2. Wzbudzenie w niej zainteresowania towarem.
3. Wytworzenie stanu pożądania (podkr. — JP).
4. Zdobycie zaufania do towaru i sklepu.
5. Spowodowanie decyzji zakupu.

Przyznajemy, że w tajemnicy przed autorem powyższych „5 faz” konsultowaliśmy się ze znanym seksuologiem, który po analizie kolejnych punktów dopatrywał się pewnych nieprawidłowości, zwłaszcza w punktach 3 i 4. Jego zdaniem, przed „wytworzeniem stanu pożądania” powinno nastąpić właśnie „zdobycie zaufania”, a nie odwrotnie.

Wracajmy jednak do naszej lektury. Jej autor wyróżnia następnie osiem prawidłowości, o których należy pamiętać planując wystawę. Np. „Nie należy stosować urządzeń stojących samotnie” czy „Nie wolno mieszać stylów”. Oprócz prawidłowości jest też „5 zasad obowiązujących przy projektowaniu i aranżacji wystawy”. Są to — zasada równowagi, emfazy, harmonii, proporcji i rytmu. Zasadę równowagi osiągnąć można czterema różnymi sposobami, a sama równowaga dzieli się na formalną i nieformalną. Aby jednak ustalić równowagę pamiętać należy o czterech wskazówkach praktycznych. Uff! Czytając te wywody o mało nie straciłbym równowagi. Na szczęście kolejny fragment dotyczy zasady emfazy, czyli punktu ciężkości i zasady harmonii, więc uspokojeni kontynuujemy lekturę. Teraz o liniach — pionowej, poziomej, skośnej i krzywej. Zdaniem mgr Krzysztofa Miszczaka, „linia pionowa nadaje przestrzeni surowy, męski efekt”, natomiast „linia krzywa kojarzą się z płcią żeńską”. Przyznajemy, że i nam tak się zawsze wydawało, tylko jakos nie potrafiliśmy tego wyrazić słowami. Chociaż, wcale nie wykluczone, że jest akurat odwrotnie. Szkoda, że autor tej pracy nie rozwinął swoich dociekań na temat związków linii i płci.

Szczegółowo omawia za to zasady proporcji i rytmu, oczywiście w oknie wystawowym. Siedem następnych stron poświęcono zasadom stosowania koloru (dziewięć zasad) i oświetlenia. A błędów w wystawie dopatrywał się nasz teoretyk osiem, np. „wystawy zmieniane zbyt wolno”, „wystawy zbyt rzadko zmieniane”, „nadmierna ilość sprzętu wystawowego” i kilka innych. „W małych sklepach kierownik może mieć pokusę, aby raz zrobić dekorację z wykorzystaniem sprzętu, a później po prostu zmieniać towar” — czytamy na stronie 22. Panie magistrze Miszczaku. Pokusę mogą mieć nie tylko kierownicy małych sklepów, tych dużych także!

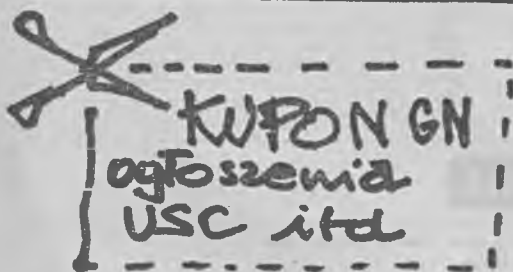
Ostatni rozdział dotyczy „metod eksponowania wybranych towarów przemysłowych”. Dowiadujemy się z niego, że „Obecnie królową jest ważnym elementem męskiej garderoby”, „Wyroby ze szkła powinny stać zawsze w pozycji pionowej (nigdy do góry nogami)”, „Kapelusz powinien być starannie założony, w sposób jaki jest normalnie noszony”. Długo moglibyśmy jeszcze cytować wybrane fragmenty tej jakże potrzebnej pracy naukowej. Wiemy już jednak sporo i teraz nie damy się nabrać na tanie chwytły różnej maści dekoratorów sklepowych. Z nami jest mgr Krzysztof Miszczak i jego wiedza. Czekamy na pracę doktorską! Halo, Łódź, słyszyście nas?!

Sos zielony. Do filiżanki sosu majonezowego dodać 3–4 drobno usiekane marynowane grzyby, 2 łyżki konserwowego groszku, łyżkę bardzo drobno usiekanego zielonego, świeżego szczypiorku, pieprz, sól, cukier, kilka kropel cytryny — wymieszać, doprawić do smaku. Do tak przygotowanego sosu — ale bez szczypiorku — można wlać mały kieliszek białego, wytrawnego wina, sos ma wówczas niepowtarzalny, wykwintny smak.

Sos czerwony. Duży (lub dwa małe) strąk czerwonej, marynowanej papryki oczyścić z ewentualnych pestek i bardzo drobno posiekać, połączyć z filiżanką majonezu, 2–3 łyżkami konserwowego groszku, sporym łyżkiem drobniutko usiekanej natki pietruszki, łyżeczką koncentratu pomidorowego lub keczupu, na koniec doprawić do smaku cukrem, solą odrobiną pieprzu i mielonej papryki (kto lubi — ostrej).

Sosy majonezowe przygotowujemy na godzinę przed podaniem na stół, (nie powinny być przechowywane!).

EWA ANKIEWICZ



TYDZIEŃ

IMIENINY

12 kwietnia — Juliusza, Wiktora
13 kwietnia — Idy, Przemysława
14 kwietnia — Justyny, Walerego
15 kwietnia — Anastazji, Bazylego
16 kwietnia — Benedykta, Julii
17 kwietnia — Roberta, Rudolfa
18 kwietnia — Bogusławy,
Apoloniusza

TEATR

12.04. — próby
13.04. — próby
14-16.04. — nieczynny
17.04. — próby
18.04. — godz. 12.00 Głogów
„Edukacja Rity”

KINA

„Zwycięstwo” Cybinka
12.04. Cobra (USA 15 l.)
13-18.04. Rybka zwana Wandą czy-
li jak odzyskać łup (ang. 15 l.)
„Ceramik” Gozdnicza
12-13.04. Imperium słońca (USA
15 l.)
12-13.04. Alchemik (pol. 18 l.)
14-18.04. Szalony Megs (USA 15 l.)
14-18.04. Kopalnie króla Salomo-
na (USA 12 l.)
„Iskra” Gubin
12-13.04. Śmiertelnie mroźna zima
(USA 15 l.)
12-13.04. Sztuka kochania (pol.
15 l.)
12-13.04. Piraci (tun. 12 l.)
14-18.04. Imperium słońca (USA
15 l.)
14-18.04. Alchemik (pol. 18 l.)
14-18.04. Wielka draka w chiń-
skiej dzielnicy (USA 12 l.)
14-18.04. Czarownice z Eastwick
(USA 18 l.)
„Ślask” Nowa
12-13.04. Imperium słońca (USA
15 l.)
12-13.04. Ostatni dzwonek (pol.
15 l.)
12-13.04. Bliskie spotkania z we-
sołym diabłem (pol. b/o)
14-18.04. Porno (pol. 18 l.)
14-18.04. Do zobaczenia chłopcy
(franc. 12 l.)
„Światowid” Kargowa
12-17.04. W imię przyjaźni (franc.
18 l.)
12-17.04. Siedem piegów (NRD
12 l.)
12-17.04. Superglina (USA 18 l.)
18.04. Książę w Nowym Jorku
(USA 12 l.)
18.04. Tam, na tajemniczych dróż-
kach (ZSRR b/o)
18.04. Śmiertelnie mroźna zima
(USA 15 l.)
„Uciecha” Koźuchów
13-16.04. Śmiertelnie mroźna zima
(USA 15 l.)
13-18.04. Nietykalni (USA 18 l.)
17-18.04. Żelazną ręką (pol. 18 l.)
17-18.04. Karatecy z kanionu Żół-
tej Rzeki (chiński 15 l.)
„Patria” Lubsko
12-13.04. Nico (USA 18 l.)
12-13.04. Czarny wawóz (pol. 15 l.)

14-18.04. Przesłuchanie (pol. 18 l.)
14-18.04. Cobra (USA 15 l.)
14-18.04. Prokodyl Dundee (austra-
lijski 12 l.)

„Świtez” Łagów
13-16.04. Willow (USA 12 l.)
18.04. Stan strachu (pol. 15 l.)
„Arena” Malomice
12-18.04. Elektroniczny morderca
(USA 15 l.)
12-18.04. Nieoczekiwana zmiana
miejsc (USA 15 l.)

„Odra” Nowa Sól
12-17.04. Karate Kid (USA 15 l.)
16-18.04. Winnetou i Old Surehand
(RFN b/o)
16-18.04. Sextelefon (USA 15 l.)
16.04. Pluton (USA 18 l.)

„Dozamel” Nowa Sól
13-17.04. Niesamowity jeździec (USA
18 l.)
13.04. F/x (USA 18 l.)
18.04. Rambo (USA 15 l.)
18.04. Dzika namiętność (USA 18 l.)
„Orzeł” Sulechów
13-18.04. Galimatias czyli Kogel Mo-
gel II (pol. 12 l.)
13-18.04. Tunel (ang. 18 l.)

„Kosmos” Świebodzin
12.04. Powrót wabiszczura (pol. 18 l.)
12.04. Winnetou i Old Surehand
(RFN b/o)
13-18.04. Deja Vu (pol. 15 l.)
13-18.04. Wróblek Willi (węg. b/o)

„Przyjaźń” Świebodzin
12.04. Obcy — decydujące starcie
(USA 15 l.)
13-18.04. Kapitał, czyli jak zrobić
pieniądze w Polsce (pol. 15 l.)

„Nysa” Zielona Góra
12-13.04. Niedźwiadek (franc. 12 l.)
12-14.04. Malone (USA 18 l.)
12-14.04. Mściciel znad Żółtej Rzeki
(Hongkong 15 l.)
13-14.04. Moonraker (USA 15 l.)
17-18.04. Krótkie śpięcie (USA 12 l.)
17-18.04. Człowiek w ogniu (USA
18 l.)
17.04. Szczęśliwa trzynastka (chiński
12 l.)

„Wenus” Zielona Góra
15.04. — nieczynny
16.04. Czarodziejski Las
Krokodyl Dundee (austral. 12 l.)
Młode strzelby (USA 15 l.)
17.04. Młode strzelby (USA 15 l.)

„Meteor” Zagań
14-18.04. Ostatni prom (pol. 15 l.)
14-18.04. O książnicze gęsiarce
(NRD b/o)
14-18.04. Nieśmiertelny (ang. 15 l.)
15-18.04. Nico (USA 18 l.)
„Pionier” Żary
12-13.04. Sextelefon (USA 18 l.)
12-13.04. Żyć i pozwolić umrzeć (ang.
15 l.)
12-13.04. Stan posiadania (pol. 15 l.)
14-18.04. Przeklęty, zły los (NRD b/o)
14-18.04. Rykoszet (USA 18 l.)
14-18.04. Nocny jastrząb (USA 15 l.)
UWAGA: W pierwszy dzień świąt
kina są nieczynne.

MUZEA

Muzeum w Nowej Soli

Śląska rzeźba gotycka. Konserwacja
obrazu Abrahama Beyerona „Dary
morza”. Portret dworski XVIII w.
Kultura mieszczańska XIX w. Mili-

teria. Herby miast nadodrzańskich
w dawnej pieczęci. Przyroda doliny
Odry.

Muzeum w Świebodzinie

Dawne rzemiosło świebodzińskie.
Myślistwo i łowiectwo w ekslibris-
cie (ze zbiorów Józefa Czosnyki).
Przyroda Ziemi Lubuskiej.

Muzeum Okręgowe
w Zielonej Górze

Galerie autorskie — Józefa Cygan-
ka, Jana Berdyszka, Aleksandry
Domańskiej — Bortnowskiej, Leszka
Krzyszowskiego, Maril Powalisz —
Bardońskiej. Wystawy — Malarstwo
i tkanina plastyczna Lucyny Krę-
kowskiej „Marzenia przestrzeni”,
malarstwo Kamili Marchelek. Wi-
niarstwo. Sztuka starożytnego Rzy-
mu. Wicę w malarstwie polskim w
XIX-XX w.

Muzeum Archeologiczne
Środkowego Nadodrza
w Zielonej Górze z siedzibą
w Świdnicy

Środkowe Nadodrze u schyłku sta-
rożytności. Obrona polskiej granicy
zachodniej. Śc. Nadodrze w pierw-
szym tysiącleciu przed naszą erą.
Malarstwo Tomasza Siwińskiego
„Pejzaż archeologiczny”.

Lubuskie Muzeum Wojskowe
w Zdrzonowie

Lubuskie Wojsko Polskie. Broń
XIX-XX wieku. Ekspozycja cięż-
kiego sprzętu bojowego. Malarstwo
Bronisława Wilimowskiego. Galeria
autorska W. Czechowskiej-Antoszew-
skiej.

Muzeum im. Marcina Różka
w Wolsztynie

Życie i twórczość Marcina Różka.

Izba Pamięci dr Roberta Kocha
w Wolsztynie

Woj. i Miejska Biblioteka Publiczna
w Zielonej Górze

Galeria polskiej ilustracji książko-
wej. Muzeum książki Środkowego
Nadodrza. Film, książka, plakat.

Zagański Pałac Kultury

Henryk Mądravski — grafika i ry-
sunek. Jan Woźniak — szkło, krysz-
tał. Kolej w znaczkach (ze zbiorów
Jana Drożdża). Rysunki dzieci z SP
nr 1. Ekspozycja stała — Od zamku
do pałacu. Wystawa pokonkursowa
— Wypieki ludowe, Plastyka obrzę-
dowa.

GALERIE

BWA — Pracownia W. Czerwoni
z PWSSP z Gdańska.
Galeria „Art” — Linoryt Józefa
Słabosza.

TELEFONY

Pogotowie MO 997
Straż Pożarna 998
Pogotowie Ratunkowe 999
Pogotowie c.o. 993
Pogotowie wod.-kan. 994
Pogotowie energetyczne 991
Pogotowie Gazowni 221-81

ZDANIE TYGODNIA

Chciałoby się być bogatym, aby już nie myśleć o pieniądzach, ale
większość bogatych i tak nie myśli o niczym innym.
(ABEL BONNARD)

Informacja PKP 38-38
Informacja PKS 223-01
Informacja Usługowa 53-00

DYŻURY

APTEKI

13 - 19.04. Zielona Góra ul. Wiśniowa
„ Nowa Sól ul. 1 Maja
„ Żary ul. Buczka
„ Lubsko ul. Krakowskie
Przedmieście
14 - 20.04. Świebodzin ul. 1 Maja
„ Sulechów ul. Świerczew-
skiego
„ Wolsztyn ul. 5 Stycznia
„ Zagań ul. Śląska

„Smigus — Dynkus Live”

Audycja zielonogórskiej rozgłośni
Polskiego Radia w Poniedziałek
Wielkanocny, w której będą mogli
wziąć udział słuchacze. Doskonała
muzyka, humor, wszystko w świą-
tecznym nastroju. Początek godz.
8.00, gospodarzami „Smigusa Dyn-
gusa” będą Konrad Stanglewicz i
Wojtek Mróz.

PROLETARIUSZE
WSZYSTKICH KRAJÓW
ŁĄCZcie SIĘ
ale bez przesady!



KOMUNIKAT

Zarządu Regionu
NSZZ „Solidarność”
w Zielonej Górze

ZR NSZZ „S” upoważnia Klub
Wyborczy w Świebodzinie do posłu-
giwania się w kampanii wyborczej
do samorządu terytorialnego symbo-
lika „Solidarność”. Wynika to z
faktu, iż inicjatorami powstania
Klubu były organizacje zakładowe
naszego Związku.

Jednocześnie ZR „S” wyraża przy-
chylne zainteresowanie pracą Kom-
itetu Obywatelskiego w Świebodzi-
nie, w którego szeregach znajdują
się także członkowie i sympatycy
„Solidarność” i którego program
działania jest w dużej mierze zbież-
ny z naszym programem.

PROGRAM TV

CZWARTEK 12.IV

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Hannay” — odc. 3 pt. „Podróż w krainę strachu” — serial prod. angielskiej
10.20 Domator: Nie dajmy się
11.40 MEN — inwemuje (powt.)
13.30 TTR. Matematyka (sem. IV)
14.00 TTR. Spotkania z lit. (sem. IV)
16.10 MEN — informuje (powt.)
16.25 Dla młodych widzów: Kwint oraz film z serii „Ordy”
17.30 Biznes
18.00 Program lokalny
18.45 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 Program publicystyczny
20.05 „Hannay” — odc. 3 pt. „Podróż w krainę strachu” — film prod. angielskiej
21.00 Interpelacje
21.50 Sport
22.00 Pegaz
22.45 Wiadomości wieczorne
23.00 „Droga krzyżowa” — film dok.
23.55-025 Język angielski (55)

PROGRAM II

16.25 Korep. dla mat.: j. ang. (26)
16.55 Język rosyjski (25)
17.30 „W labiryncie” — film TP
18.00 „Katastrofy” (3) — ang. s. dok.
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Las i jego znaczenie” — film przyrodniczy prod. czeskosłowackiej
20.00 Wielki sport
20.40 Ludwig van Beethoven — Sonata Księżycowa
21.00 Express reporterów
21.45 Kino studyjne Dwójki: „Opactwo” — f. fab. prod. franc.

PIĄTEK 13.IV

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.35 Domator: Nasza poczta
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Nowinki z plotu” — odc. 4 pt. „Skoki w bok” — film prod. NRD
15.30 NURT: Po co szkole komputer?
16.25 Muzyczne spotkania
17.30 Raport
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tyg. gospodarczy
20.05 „Las Katynski” — film dok.
21.10 Droga krzyżowa — transmisja z Watykanu
22.40 Wiadomości wieczorne
22.55 Pieśni Wielkopostne śpiewają Poznańskie Słowiki
23.20 Weekend w Jedyne
23.30 Sztuka i my
23.55-025 „Widziadła”, reż. Marek Lewandowski

PROGRAM II

16.35 Korep. dla mat.: j. ang. (27)
17.10 Ballada o drodze Krzyżowej — pr. poetycko-muzyczny
18.00 „Dobra nadzieja” — serial fab. prod. franc.
19.00 Express gospodarczy (powt.)
19.30 Dookoła świata: „U proboszcza superkatedry” — Oratorium J. F. Haendla
20.50 Samuel Beckett w rocznicę urodzin
21.45 Ludwig van Beethoven: Sonata Waldsteinska

22.15 „Dzień po jarmarku” — film prod. ang.

SOBOTA 14.IV

PROGRAM I

7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na dzialec
8.20 Na zdrowie — pr. rekreacyjny
8.40 Ziarno — pr. Red. Katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 Drops — mag. dla dzieci i młodych oraz film „Heidi”
10.30 Wiadomości poranne
10.45 „Azjatycka mozaika” (11) — serial dok. prod. francuskiej
11.05 Rycerskie serca — pr. dok.
11.30 Poza rok 2000 — film dok. prod. australijskiej
12.00 „Marcina Zaleskiego opisanie Warszawy” — film dok.
12.25 Muzyka w Leżajsku — gra Wojtek Weźranowski (organy)
13.00 Teatr TV: Ernest Bryll — „Wieczernik”
14.15 Nad Niemnem, Piną i Prypicią: W Kosowie
14.25 Morze — magazyn
14.35 Antena
14.50 Życie Mariana — reportaż
15.10 Rewizja nadzwyczajna
15.40 „Computron” — film prod. wł.
17.30 Butik
18.00 Program lokalny
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
20.05 „Ginger i Fred” — film fab. prod. włoskiej
22.05 TV przegląd sportowy
22.25 Agnieszka Osiecka — „Biała blurka” — monodram
23.15-1.15 Kino nocne: „Na prośbę matki” (2) — film fab. USA

PROGRAM II

13.30 Czas akademicki: Katolicki Nurt Stowarzyszeń Akademickich
14.00 Bariery
14.25 Blok programów oświatowych
16.30 Ludwig van Beethoven — Sonata Appassionata
17.00 Wielkanoc — program Aliny Czerniakowskiej
17.15 Polacy: Tadeusz Konwicki
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Tradycje muzyczne siostr Kларыsek w Starym Sączu
20.00 „Messiasz” (2) — Oratorium J. F. Haendla
20.50 „Tryptyk” — impresja filmowa o Męce Pańskiej
21.00 Sztuka kontemplacji — f. dok.
21.55 „Świadek” — film sensacyjny prod. USA
23.45 Alfabet Kisiela

NIEDZIELA 15.IV

PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Wiosne malowania
8.25 „Ania z Zielonego Wzgórza” (1) — film prod. kanadyjskiej
10.25 Msza św. z Bazyliki św. Piotra w Rzymie
12.40 Teatr dla dzieci: Artur Wolski „Hrabia Gliński-Popielński”
13.20 Portrety: „Piotr Michałowski” — film dok.
14.20 „... i dziś zmartwychwstałem” — program poetycki
14.45 Video - top
15.05 „Panna dziedziczka” — ostatni odc. serialu prod. brazylijskiej
17.15 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Parada wielkanocna” — musical prod. USA
19.00 Wieczorynka: Wiwat, skrzaty
20.05 „Północ — Południe” (9) — serial prod. USA
21.35 Sportowa niedziela
22.15 Piosenki z Tokio

23.25 Kino nocne

PROGRAM II

8.20 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
8.50 „Północ — Południe” (dla niesłyszących)
12.40 „Mojżesz” (1) — film fab. prod. USA
13.40 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem
14.00 Kino rodzinne: „Autostrada do nieba” — serial prod. USA
14.50 Ta ostatnia niedziela: Piosenki Jerzego Petersburskiego
15.30 Podróż w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr” (8) — „Sześćście a śmierć” — film dok. prod. francuskiej
16.20 Barbara Streisand — portret artystki
17.30 Bliżej świata
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Roman Brandstaetter „Mileżenie”
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Uniwersytet Boloński i jego słyni studenci
21.45 „Mojżesz” (1) — s. prod. USA
22.30 Jiri Suchy — „Na przykład we wtorek, środe czwartek — czyli Teatr Semafor

PONIEDZIAŁEK 15.IV

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 „Ania z Zielonego Wzgórza” (2) — film prod. kanadyjskiej
11.00 „Objazd pół” — film dok.
11.10 „Duchy lasów” — film przyrodniczy prod. ang.
12.00 Sto twarzy Chrystusa
12.20 Telewizyjny koncert życzeń
13.20 Teatr dla dzieci: Ten najpiękniejszy świat — Elżbieta Adamiak
13.55 Ballady S. Moniuszki przedstawia Maria Foltyn
14.25 Program rozrywkowy
15.20 Program muzyczny
15.35 Sport
16.25 Julie and Carroll — przyjaciółka z dawnych lat — program rozrywkowy
17.30 W starym kinie: „Dodek na froncie” — film arch. z 1936 r.
19.00 Wieczorynka: Wiwat, skrzaty
20.05 „Kingsajz” — komedia prod. polskiej
21.50 Kabaret Olgi Lipińskiej
22.40 Sport

PROGRAM II

10.00 „Konspiracja u króla Jana” — program dokumentalny
10.30 Lokalny koncert życzeń
16.55 Powitanie
11.00 Benefis Wojciecha Furmana
11.55 Danuta Wałęsowa — film dok.
12.55 Piccolo Coro Dell'Antoniano ponownie w Polsce — reportaż
14.00 Studio sport
14.30 Jeremi Przybora — film Magdy Umer
15.50 „Ucieczka na Górę Czarownic” — film fab. prod. USA
17.20 „Ach Ameryka — dziecko po trafi” — wid. artystyczne
18.00 A to Polska właśnie — rep.
18.30 Pół wieku amanta: Jan Nowicki
19.30 Galeria 37 milionów
20.00 Studio sport
20.45 Krajobraz pełen nadziei — śpiewa Marek Grechuta
21.50 „Atlantic City” — film fab. prod. kanadyjskiej

WTOREK 17.IV

PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życzenie
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Dolina nadziei” — odc. 6 ost. pt. „Guido” — prod. franc.
10.20 Domator: Rady na życzenie
13.30 TTR. Fizyka (sem. IV)
14.00 TTR. Prod. rośl. (sem. IV)
15.30 Kim być — pr. dla 15-latków

16.25 Dla dzieci: Tik — Tak oraz film z serii „Gumisie”
17.30 Spojrzenia — public. międz.
18.00 Program lokalny
18.45 Klinika zdrowego człowieka
19.00 Dobranoc
19.10 Plus - minus — pr. public.
20.00 Spotkanie z min. J. Kuroniem
20.15 „Dolina nadziei” — odc. 6 (ost.) pt. „Guido” — s. prod. franc.
21.15 Listy o gospodarce
21.50 Studio sport
23.10 Wiadomości wieczorne
23.25 Jutro w programie
23.30-24.00 Język rosyjski (25)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (56)
17.25 Program dnia
17.30 Dookoła świata: Na Tahiti
18.00 „Mąż pod łóżkiem” — nowela TP
18.30 Up With People w Polsce — reportaż
19.10 Modlitwa wieczorna z Sanktuarium Matki Boskiej Tacholskiej
19.30 Studio sport
20.00 Przeboje Bogusława Kaczmarskiego: Podróż do Mediolanu (3)
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic: Zenon Komar (finansista)
21.45 „Opowiadania wariackie” — film fab. TP

ŚRODA 18.IV

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.05 Muzyka (kl. I): Gramy na instrumentach
8.35 Domator: Nasza poczta, Wiosenny kurs szycia
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Telefon 110” — odc. pt. „O krok za daleko” — film NRD
10.50 Domator: Przyjemne z pożytecznym
11.10 Drogi do Niepodległej (kl. VII)
12.00 Spotkania z lit. (kl. V)
12.50 Spotkania z lit. (kl. III-IV)
13.30 TTR. Fizyka (sem. II)
14.00 TTR. Biologia (sem. II)
15.00 Współczesna genetyka — (kl. I-IV lic.)
16.25 Dla młodych widzów: Kameleon
16.50 Dla dzieci: Cojak - teleturniej
17.30 Sensacje XX wieku
18.00 Program lokalny
18.45 Rolnicze rozmaitości
19.00 Dobranoc
19.10 Rzeczpospolita samorządna
20.05 Sport: Puchar Europy w piłce nożnej
21.50 Zawsze po 21-szej
22.30 Wiadomości wieczorne
22.45 Rozmowy w „Res Publice”
23.35-24.00 Język angielski (25)

PROGRAM II

16.25 Korep. dla mat.: j. ang. (30)
16.55 Język francuski (21)
17.25 Program dnia
17.30 Zwierzęta wokół nas
18.00 „Marc i Sophie” — film prod. francuskiej
18.30 Magazyn 102
19.00 Express gospodarczy (powt.)
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 Czarne na białym — przegląd PKF
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron
21.50 „W labiryncie” — serial TP
22.30 Telewizja nocą
23.00-23.05 Komentarz dnia

* Programy informacyjne: 17.15 Teleexpress, 20.00 Wiadomości (II), 21.30 Panorama dnia (II).
* Redakcja nie odpowiada za zmiany w programie, dokonane w ostatniej chwili przez TVP.

GAZETA

NOWA

REDAGUJE KOLEGIUM: Andrzej Buck (redaktor naczelny), Andrzej Gajda (sekretarz redakcji), Lucyna Małachowska-Grabowska, Czesław Markiewicz, Edward J. Mincer, Konrad Stanglewicz ZESPÓŁ: Anna Bułat-Raczyńska, Leszek Krutulski-Krechowicz (fotoreporter), Krystyna Kulbicka (redaktor techniczny, kierownik redakcji), Witold Michorzewski (grafik), Jacek Patalas, Mieczysław Więckowicz, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Bogdan Kuniewicz, Miroslaw Kuleba, Wojtek Mróz.
ADRES REDAKCJI: 65-067 Zielona Góra, Pl. Bohaterów Stalingradu 13, tel. 30-01
WYDAWCA: „ALPO” SC Zielona Góra, ul. Podgórna 43c, tel. 666-00, fax 666-22 tlix 043 22 20
DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP Zielona Góra, ul. Reja 5.
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie zwracaamy.
N-23

KURIER ZIELONOGÓRSKI



V Diecezjalne
Dni Młodych
Zielona Góra
7 — 8 kwietnia 1990

PRZ

Sag

DO W
COTY
KONK
GAZE